



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

SARKOFAG

przez

Jaroslawa Vrehlickiego

(przełożył z czeskiego **Bronisław Grabowski**).

O Grecyo, matko sztuki i żywota,
Duch twój promienie w mrok mej duszy miota;
Słońce, co niegdyś na Hymetu szatach
Złociło perły, zwieszzone po kwiatach,
I w grona lało płomieniste żary,
Dziś złoci czarę pieśni mej!...

Prastary

Sarkofag w gruzach widziałem przed laty;
Do niego ciągle myśli rój skrzydlaty
Wraca, ilekroć dzika losów burza
W wir rozrukany życia je zanurza;
Gdy się zadumam nad sztuką i życiem;
Gdy pytam z serca przyspieszonym biciem:
Czemu rozdziela przepaść morza tonie
I lazur niebios — słońce w swej koronie,
I mrok otchłani — żywot ludzki w boju,
I dolę niebian w błogości pokoju?
Wracając do tej starożytnej trumny
Myśli, ilekroć pytam w trosce dumnej:
Jak w ten nasz żywot, gdzie nadzieja mami,
Pod każdym krokiem brzeg zapada z nami,
Jak w tę zasłonę, co zakrywa groby,
Wplatać poezji róże dla ozdoby,

Jak ten gwar świata, ciągly a nieczosny,
W dźwięk melodyjny stopić, w śpiew radośny;
Jak w twarz Meduzie wpuścić blaski złote,
Łzę rezygnacyi w boleść i tęsknotę,
Jak uczyć wiary, gdy rozum się chwieje,
Jak w proch upadłym przywracać nadzieję,
W niebo ich wznosząc?

Sarkofagu czoło

Wiosenne kwiaty obwily wokoło;
Na nim mistrz wrył, jak przy dźwięku liry
I fletu tańczą nimfy i satyry,
Włos zdobny w bluszczu zieleń i kwiat wiosny;
Wewnątrz śpi zmarły; zewnątrz w płas radosny,
W długi rząd szczęsnych, pary się złączyły.
Wewnątrz śpi zmarły; zewnątrz do swej miłej
Nimfy wzrok satyr zwraca, błagający
O uśmiech słodki, o uścisk gorący.
Wewnątrz śpi zmarły; zewnątrz w czasach wino
Pieni się. Wewnątrz popiół z pajęczyną
I kość zbutwiała.... z wieka trumny splywa
Melodya śmiechu, gędzba, płas, szczęśliwa
Miłość, woń kwiatów, słoneczna poźłota....
Wszystko się spaja w harmonią żywota.

O BOWIĄZEK

(Streszczenie z **Samuela Smiles**).

(Dalszy ciąg, ob. Nr 14).

Przykładom rycerskiej odwagi żołnierza poświęca Smiles rozdział długi. I tu podstawą, grun-

tem moralnym jest obowiązek: karność, posłuszeństwo rozkazom powódcy. „Krew ludzka dobrze jest rozlaną, gdy płynie za rodzinę, przyjaciół, Boga, ojczyznę i naród swój“ — powiedział szlachetny mówca, Irlandczyk z rodu, Burke, i Smiles, stawiając te jego wyrazy na czele rozdziału „The Soldier“, określa powołanie wojownika i rację istnienia tego zawodu. Żołnierz broni ognisk rodzinnych i świętości narodowych, broni zagrożonych przemocą praw ojczyzny, stoi na straży jej granic. Pewne natury znajdują tylko w zawodzie żołnierskim dobre siły swych zużytkowanie: to też ci, którzy inaczej popadliby w apatyę, lub wiedli życie dziko rozrzucone, uszlachetniają się w tej służbie dla ojczyzny, która spotrzebowuje i razem kieruje ich wrodzoną energią. Pierwszym obowiązkiem żołnierza jest karność, wytrwale trzymanie się na stanowisku, czy to w chwili tryumfu, czy klęski; zaraz następnie idzie gotowość do czynu, która nigdy słabnąć nie powinna, dzień i noc czujna, o każdej chwili i godzinie do działania przygotowana, nieupajająca się chwałą zwycięstwa, nieupadająca na duchu wśród niepowodzenia. Po wojnie francuzko-pruskiej jakiś poeta niemiecki napisał wiersz, w którym uniesienie patryotycznego zapалу podnosiło Moltke'go wyżej nad Hanibala, Aleksandra, Napoleona I, lecz generał niemiecki, jakkolwiek wierszowany panegeryk przyjął, odpowiedział listownie poecie, że się myli, ponieważ rzeczywista wielkość wojownika, dopiero w niepowodzeniu wypróbowaną zostaje, a jemu służyło wciąż szczęście.

Żołnierz powinien mieć odwagę poświęcenia się. W r. 1760 Ludwik XV wysłał za Ren 25,000 ludzi pod wodzą marszałka de Castries, i armia ta, działając szybko, zajęła silną pozycyę pod Klöster-camp, nie spodziewając się jednak spotkać prędko z nieprzyjacielem. Niemniej młody oficer, kawaler d'Assis, został wysłany na rekonesans w głąb kraju i wyprzedziwszy swych ludzi, zapuścił się w las, który noc październikowa, mglista i ciemna

czyniła nieprzejrzany. Nagle otoczył go oddział nieprzyjacielski, a dowódca, przykładając mu bagnet do piersi, szepnął mu do ucha: — Najlżejszy hałas, odgłos jakikolwiek, a jesteś człowiekiem nieżywym. Lecz młodzieniec zmiażdżył przedko położenie; zrozumiał, że chciano napaść wśród nocy na obóz francuzki, i wykrzyknął z całej siły: — Bacność, Owernia! bacność... nieprzyjaciel! Były to jego ostatnie słowa, ale plan Niemców został wykryty, alarm dany przez placówki obudził obóz francuzki, i nieprzyjaciel cofnął się, nie próbując już napadu, który mógł mieć powodzenie wtedy tylko, gdyby został wykonany zniemacka i na nieprzygotowanych do oporu.

Jest to zdaniem upowszechnionem, że nauka i sztuka zakwitają wśród szczęścia pokoju, a jednak historia dowodzi czego innego. Sokrates, Eschyrs, Sofokles, Xenofon żyli w czasie wielkich wojen i osobiście walczyli za ojczyznę hellenicką. To samo widzimy w Rzymie w czasie jego najwyższej chwały i potęgi. Cezar był tak dzielnym wodzem jak pisarzem; Horacyusz walczył też za młodu, a nawet Brutus powierzył mu dowództwo legii. I przykładów takich jest bardzo wiele; Smiles przypuszcza, że karność wojskowego zawodu wywiera jakiś potężny wpływ na charakter, któremu daje siłę władzy nad sobą i zdolność skupiania się, tak niezbędnie potrzebną dla wytworzenia geniuszu. Można-by przecież mniemać, że coś innego jeszcze składa się na to, iż tylu wielkich mistrzów słowa, wielkich pisarzy i poetów walczyło za ojczyznę; tacy ludzie muszą być koniecznie ludźmi żywego uczucia, gorącego zapału, a co za tem tuż idzie, patriotami: więc w meżkiem uniesieniu serca chwytali za broń i stawali w szeregach walczących za swój kraj, za jego wielkość i szczęście. Tyrteusz jest dla mnie pierwowzorem poety, jest cudownie piękną postacią mężką.

Dante był także żołnierzem. W bitwie pod Campaldino bił się mężnie na czele konnicy Gwelfów i to właściwie zamknęło mu bramy Florencji, czyniąc zeń tułacza. Piotr Pastelnik, wódz-duch krzyżowców, był poprzednio żołnierzem i służył pod hrabią de Boulogne w wojnie jego z Flandryą. Potem został pustelnikiem i przewodcą rycerzy Grobu Chrystusowego. Chaucer i wiele poetów, uczonych angielskich, oraz szkockich służyło wojskowo; Smiles wymienia ich szereg cały.

W czasach szlachetnego rozwoju literatury hiszpańskiej wszyscy poeci i znakomici pisarze byli rycerzami, żyli życiem meżkiem i czynnem. Lopez de Vega był dzielnym żołnierzem w służbie sławnej Armady. Cervantes podobnie walczył jako dzielny syn swego kraju na lądzie i morzu; odwaga, waleczność jego zapewniła mu u żyjących niemiejszą sławę od tej, którą obdarzyła go potomność; w bitwie pod Lepanto otrzymał trzy rany, dwie w piersi, jedną w głowę, które uczyniły go inwalidą na całe życie. Ale te postrzały muskietu nie zabiły w nim siły ducha, która wytrysnęła strumieniem życia innym. Powróciwszy do domu, napisał swoje nieprzeżywające się z upływem wieków dzieło.

Calderon także był wojownikiem niemniej dzielnym jak Cervantes: między nim, chwałą Hiszpanii, a Camoensem, chwałą bratniej krainy, Portugalii, zachodzi podobieństwo losu. I ten ostatni także służył ojczyźnie mieczem; lał za nią krew na polu walki. Cervantes stracił w boju rękę, a Camoens oko. Było to w bitwie morskiej o Gibraltar. Potem jeszcze walczył w Indyach. Jego Luizyada jest mimo to najznakomitszym tworem literackim w jego ojczyźnie: napisał ją po skończonej karierze wojownika i rycerz-poeta umarł w szpitalu, a poprzednio wierny sługa zebrał dla niego na chleb nocami. I Cervantes skończył w biedzie; nie położono obogiemu kamienia pamiętki na miejscu jego ostatecznego spoczynku i grób jego jest nieznany.

Descartes także służył wojskowo. W chwilach wolnych od zajęć swego zawodu studiował matematykę i filozofię. Raz gdy pułk jego stał w Breda, ujrzał tłum ludzi czytających jakieś ogłoszenie, którego on jednak nie mógł zrozumieć, bo było napisane poflamandzku. Gdy mu je wytłumaczono, pokazało się to trudnym zadaniem ma-

tematycznym, które podawano publicznie do rozwiązania. Młodzieniec dokonał tego jeszcze w tym samym dniu i nazajutrz rano przesłał rozwiązanie swoje do kolegium w Dort, gdzie zadziwienie było niezmiernem, skoro dowiedziano się, że było to dzieło młodego oficera. Miał dwudziesty trzeci rok, gdy po skończeniu wojny Francji z Bawaryą, przebywając na zimowych leżach w Neuberg nad Dunajem, powziął pierwszą myśl tych reform w filozofii i geometrii, które zapewniły mu nieśmiertelność.

Wielu uczonych i literatów francuzkich było żołnierzami: Maupertuis, Malus, Niépce, Droz, Lamark, wreszcie De la Rochefoucauld, sławny autor *Maxym*. Jak uczucie miłości ojczyzny rozwinięte w żołnierzu, może wspomagać monarchów na tronie i w ogóle ludzi rządzących krajami, wykazuje Smiles dając za przykład włoskiego *Re Galantuomo*: Wiktora Emanuela i Washingtona. Szlachetną rycerskość przedstawia we francuzkim wojowniku Bayardzie i mniej sympatycznym dla nas ziomku swoim, księciu Wellingtonie; wspomina ze czcią o bohaterach wstrząsnieli narodowych: o Szwajcarze Winkelrydzie w bitwie pod Sempach; o szkockim królu Robercie Bruce, o tyrolskim wieśniaku, Andrzeju Hofer. „Ich czyny były szlachetne — pisze — każde wspomnienie o nich, działające jako szczytny przykład, wznosi umysły i serca ludzkie. Zostawili po sobie ideę obowiązku, który nigdy zapomnianym, nigdy przestarzałym być nie może“.

Jestto idea patriotyzmu — synowskiego obowiązku dla ojczyzny: zdrada swego kraju, odstępstwo od chorągwi narodowej przeciwstawia się tej cnocie i piętnuje ludzi hanbą. Gdy Bayard raniony śmiertelnie wystrzałem z muskietu pod Rebec, w pobliżu Medyolanu, umierał pod drzewem, a wódz nieprzyjacielskiego wojska, wódz Hiszpanów, margrabia de Pescara, przybiegł do niego z gorącym wyrażeniem żalu swego, że umiera najszlachetniejszy rycerz chrześcijański, on przyjmował te oznaki współczucia, z wdzięczną łagodnością, ale gdy konetabl de Bourbon, zdrajca, walczący po stronie Hiszpanów, przybliżył się i zawołał żałośnie, jak dobry z dawnych czasów znajomy: — Ach! Bayardzie jakże mi ciebie żal!... umierający dźgnął i podniosłszy się pół ciałem z posłania, odparł surowo: — Panie, dziękuję ci za litość twoją. Ja przecież umieram bez żalu nad sobą, bo umieram jako uczciwy człowiek w służbie mego króla. Ale ty jesteś godzinę pożałowania, ty, któryś podniósł broń na ojczyznę twoją i złamał jej przysięgę wierności.

Wzruszenie przyspieszyło zgon. Bayard umarł zaraz potem. Co przecież dzieć się musiało wtedy w duszy konstabla, jakie uczucia zostały wzbudzone temi słowy odchodzącego już w wieczność, więc żadnym interesem niepowodowanego człowieka?

(Dalszy ciąg nastąpi)

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Artysta, spostrzegłszy z jaką ciekawością hrabia, jak wkuty, przypatruje się tej grupie, począł się uśmiechać.

— Ha! ten obraz to cała historia! — zawołał — należy on do biografii naszego mistrza. To są dwie jego kochanki. Pierwsza, brunetka, była jego uczennicą i winną mu jest, że się znakomicie wykształciła. Jest to młoda Polka, w której się nasz professor kochał, i która za nim szalała. Odbywali razem ekskursje do Szwajcaryi Saskiej dla malowania z natury. Po całych dniach jedno dru-

giego nie odstępowało. Potem, nie wiem, podobno ją dla tej drugiej, blondynki, zdradził i dumna Polka go porzuciła.

Całe miasto wie o tej przygodzie — dodał Meyer. O! to zbójca był na serca niewieście.

Hrabia, słuchając, zmienił się na twarzy, nasrożył, chciał zaprzeczać, chciał się ująć; ale jakież miał do tego prawo?

Któż mógł zaręczyć, że to wszystko prawdą nie było?

Może dlatego właśnie ta nieszczęśliwa Ludmiła, tak teraz unikała go, tak się pożegnała stanowczo i prędko.

Pomimo, że nie odezwał się ani słowa i nie chciał wcale opowiadającego do dalszych zwierzeń, Meyer, wpadłszy na tak dobre źródło, ciągnął dalej rozmaite zmyślane a będące w obiegu powieści o romansie profesora Apolda z piękną Polką.

Według niego była to rzecz nieulegająca wątpliwości, stwierdzona, o której naprzykład panna Semmel dawniej prawila wiele, choć później przez litość stawała w obronie Polki.

Hrabia musiał wysłuchać tych potwarzy, nie wrzucając prawie ni słowa; odwrócił oczy od obrazu, poskarżył się na silny ból głowy, przeprosił artystę, że mu służyć już do innych pracowni nie będzie, zamówił u niego akwarellę i grzecznie się go pozbył.

Jakby grom w niego uderzył; wistocie czując się chorym, pojechał natychmiast do hotelu.

Tak więc Ludmiła — ten ideał, straconą była dla niego. Miłość dla sztuki, niedoświadczenie zgubiły ją. Wszystkie nadzieje szczęścia, jakie budował, zgruchotane zostały.

W niepewności, w gniewie szukał jakichś wybiegów, aby mógł nie dać wiary temu, co słyszał. Powieść była tak szczerogłowa, tak dobitna — iż wydawała się niewątpliwą.

Żal okrutny ścisnął serce.

Postanowienie pozostania w Dreźnie i szukania Ludmiły zostało natychmiast zmienione. Nie miał już na co czekać i bawić daczego; chciał wracać do domu. W godzinę dał dyspozycją do podróży, a wieczorem nie było go już tutaj. Powracał nieszczęśliwy, lecz z najmocniejszym postanowieniem zachowania przy sobie tego, co mu opowiedziano. Poczł było rozgłaszać rzecz tak smutną, upadek tak straszny?

Gdy hrabia uciekał w jedną stronę z saskiej stolicy, Ludmiła, która sądziła, że natychmiast po rozmowie z nią, wyjechał, zaczęła była malować, gdy jednego wieczora zdala spostrzegła hrabiego błakającego się po mieście.

Przestraszyło ją to. Domyślała się, że mógł pozostać tu dla niej, szukać jej, spotkać.

Ludmiła obawiała się hrabiego, bo jak on dla niej, czuła słabość dla niego. Po cóż miała dozwalać rozwijać się uczuciu, które nigdy ich połączyć nie mogło? Rodzina hr. Zygmunta może-by się była zgodziła na ożenienie jego ze Sciborzanką, będącą na stryja opiece, ale nigdy z tą zbiegłą, trochę awanturniczą artystką, błakającą się po świecie.

Na cóż więc było łączyć się im obojgu — i przygotowywać chwilę zapomnienia lata gorzkich żalów i tęsknicy?

Powróciwszy tego wieczora do domu, Ludmiła natychmiast wymówiła mieszkanie swe, zaczęła się pakować i z gorączkową niecierpliwością wybierała się w drogę.

Dokąd? — nie wiedziała sama jeszcze. Chciała tylko uciec ztąd i nie być winną lub posadzoną, że go przyciągnęła ku sobie, że mogła rachować na to.

Przygotowania były robione z takim pośpiechem i ofiarami, że gospodyni, u której mieszkała, przestraszyła się niemi, wpadała na najrozmaitsze domysły, i widziała w tem, naturalnie, jakąś historią — podejrzaną. Na zapytania jej Ludmiła odpowiadała mało, składając się interessami rodziny.

Musiła jechać — a chociaż tak samo do nieznanego sobie Dreznia, wybrała się z Warszawy, teraz, po tem, co tu przeżyła, ten nieznany świat, ci ludzie nowi, wśród których życie też nowe potrzeba było rozpoczynać — więcej ją jeszcze niż przy pierwszej podróży onieśmielały.

Wahała się między bliższym Düsseldorfem a od-

dalonym Paryżem. Stolica europejska była zarazem stolicą wielkiej szkoły, miała urok potężny. Raz rzucając się w świat, nie lepiej-że było ważyć wszystko, aby się tam dostać? Zawszą napływali tam cudzoziemcy, targowisko nawet dla miernych dzieł sztuki zdawało się korzystniejszym niż gdzieindziej.

Francya naówczas była jeszcze w całym uludnym blasku tego Cesarstwa, która jakby pożąną luną świeciła nad horyzontem Europy. Nikt się nie domyślał tej ruiny moralnej, tej nicości i bezsilności, jaką krył majestatyczny płaszcz wielkiego kuglarza.

Paryż ciągnął biedną artystkę tak samo, jak wszystkie oczy zwracał na siebie, i jeden tylko może człowiek bystrego wejrzenia, wyrzekł naówczas o Napoleonie III słowo brzemiennie następnym wielkimi: *c'est une nullité meconne*.

Bohaterskie wojsko Francji, literatura jej, sztuka, dziennikarstwo, służyły za wzór Europie. Tak samo, jak kepi francuzkich żołnierzy naśladowano książki, uczono się na obrazach mistrzów jej. Urok był dawny, silny i zdawał się do wiekuistego trwania przeznaczonym.

Ludmiła widywała na wystawach obrazy malarzy francuzkich z takim kunsztem, lekkością, wprawą, smakiem malowane, tak wdzięczne i pociągające, iż mogła chcieć coś skorzystać z tej szkoły. Wszak ci najslawniejsi dziś mistrze Niemiec tam ciągnęli także, aby w artystycznym ogrzać się ognisku.

I ona więc postanowiła tam się udać, nie gdzieindziej. Odwaga powracała. Dłaczegóżby nie miała tam znaleźć i opieki u ziomeków i współczucia u Francuzów?

Z nadzwyczajnym pośpiechem szły przygotowania. Sitko sądził, że Ludmiła pracuje nad zamówionymi obrazami, i niechając jej być natrętnym, nie zachodził nawet, gdy raz, mijając dom, w którym mieszkała, na progu spostrzegł stojącą gospodynią i przywitawszy ją, zapytał: jak się lokatorka miewa?

— Alboż to waćpan o niczem nie wiesz? — zapytała kwaśno gospodyni. Z wami, artystami, żaden się człowiek porządny wdąć nie może w interes. Z dnia na dzień zaswita wam co w głowie, furt! i już ich niema.

— Cóż się to stało? — podchwycił przerażony Sitko.

— Co? Ona mieszkanie wymówiła, popakowane wszystko, jutro czy pojutrze już jej tu nie będzie.

Prosper, uszom swym nie wierząc, wszedł na górę; wpadł do mieszkania Sciborzanki, obejrzał się: wistocie wszystko było popakowane, paki stały pozabijane, stalugi opróżnione, Ludmiła siedziała, zwijając papiery.

Zobaczywszy Sitkę, wstała — rzuciła papiery.

— Dobrze, żeś pan przyszedł — rzekła — jutro ja sama byłabym pana szukać zmuszoną, aby pożegnać.

— Cóż znaczy odjazd tak nagły? — przerwał Sitko, któremu tchu brakło. Niech mi pani powie prawdę? Odebrałaś pani jakie wiadomości z kraju?

— Żadnych — odparła, siląc się na spokój Ludmiła. — Siadaj pan i bądź cierpliwy. Rozmyślałam się — jadę do Paryża dla nauki, czuję, że ona mi jest potrzebną. Nic tego postanowienia wzruszyć nie może.

— I pani mi mówisz całą prawdę? — zapytał Sitko. Niema żadnego innego powodu?

Na to pytanie wprost nie odpowiadając Ludmiła — rzekła spokojnie:

— Jadę dla — nauki — wier mi pan. — Muszę.

— Ani ja śmiem już słowa rzec — odezwał się cicho i smutnie Prosper. — Nie mam do tego prawa. Stało się.

Zamilkł.

Trudno wyrazić, co się działo w sercu poczciwego człowieka, dla którego czuwanie nad Ludmiłą stało się jakąś potrzebą. Służba przy niej była jedyną pociechą jego życia. Nie śmiał się nawet poskarżyć, czując się egoistą.

Drezno dla niego stawało się pustką — piekłem. Nie miał tu nikogo. Dawniej nawykł był do tego sieroctwa, od jej przybycia tak mu było lepiej. Tak już czuł, że na świecie komuś jest potrzebnym!

Sciborzanka zrozumiała to smutne milczenie, nieśmiałego się jej sprzeciwić i odezwać. Wie-

działa, że w nim miała przyjaciela — pożałowała Sitkę.

— Galeryi i pana tylko będę żałować — rzekła — więcej nie z Drezna.

— Galeryą pani Luwr zastąpi — a mnie lada sługa — odparł Sitko. — Jaka to szkoda, że ja... że mnie...

Nie dokończył — i mruknął cicho:

— Powłóklbym się za panią.

Tak straszne rzeczy opowiadają o tym Paryżu!

— Jak o Dreznie i o wszystkich stolicach — dodała Sciborzanka, z przymuszonym uśmiechem.

— Lecz zkąd-że tak nagle, tak niespodziewane postanowienie? — mówił, jękając się Sitko.

Ludmiła przybrała jakąś wesołość nienaturalną.

— Nie znasz pan kobiet — rzekła — my jesteśmy wszystkie fantastyczne, samowolne, kapryśne. Ot tak, jednego wieczora się to przysniło, a nazajutrz jużem się pakowała, może w obawie, abys mi pan nie przeskodził.

— Do Paryża! do Paryża! — szeptał, palce wyłamując biedny chłopak.

— Będę tam czekała na pana — dodała Ludmiła. Prosper potrząsnął głową.

— No, ja tam już chyba nie przybędę — odezwał się. Pierwsza moja podróż będzie pieszo do Włoch, ale to nieprędko. Nim ona nastąpi, czas będę miał posiwieć trochę.

Do wielkiego ołtarza sztuki lada komu się zbliżyć nie godzi. Nim się poczuje godnym tej pielgrzymki, wiele czasu upływie.

Sitko tak było smutno na sercu, a tak go to spotkało niespodziewanie — iż dłużej już niemogąc usiedzieć, bo potrzebował się wywindychać — zapytał tylko nieśmiało: czyby nie mógł pomódz przy ekspedowaniu pakunków? — i wysunął się z bólem w piersi.

Na lewym brzegu Sekwany, w tej dzielnicy, w której się mieści i co z handlem artystycznym jest w związku, i co się sztuką w jakikolwiek sposób zajmuje, w domu niepokaznym, którego dół zajmował rodzaj licej garkuchni, sklepik z wiktuałami, skład węgla i drzewa *à entresol* i dalsze piętra ubodzy powiększej części lokatorowie, na piątym piętrze, pod dachem, znajdował się rodzaj pracowni malarskiej z dwoma pokojkami, z których jeden zrobiwszy, jeszcze-by w nim było ciasno.

Wschodki wiodące na te wyżyny, im dalej ku górze, tem mniej starannie utrzymywane, ciasne, wązkie, ślizkie, były istną męczą drabiną.

Niegdyś była to pewnie szklanna buda znikłego z horyzontu fotografa; teraz z biedy mogła zastąpić atelier dla biednego artysty. Wprawdzie część szkieł potrzeba było od promieni słońca zasłaniać papierowymi parawanami, światło było niezbyt dobre, od ścian dokoła wyższych jeszcze i pomalowanych kominów, odbite barwy nadawały mu fałszywe tony; lecz tanio kosztowało to schronienie i było w niem stosunkowo spokojnie. Od dwóch miesięcy Ludmiła już w nim gościła. Oto drugi z jej dziennika urywek:

„Wyjazd z Drezna stał się koniecznością, obowiązkiem. Może, gdybym rozmyślała nad nim dłużej, mężtwo-by mnie opuściło, weszłabym w targi z sumieniem. Biedny Sitko zrozumieć mnie nie mógł i dziwnie mu się wydać musiałam. Patrzał mi w oczy zupełnie tak jakos, jak mój dawny faworyt Caro, wyżeł ojcowski, który mowy zrozumieć niemogąc, oczu ludzkich szukał, z nich czytając myśli. Któż wie i ten zacny, poczciwy człowiek, tajemnicę może odgadł ze smutnego wejrzenia. Widziałam, że gdyby był mógł, a raczej gdyby miał tylko, porzuciłby był wszystko i powłókl się za mną. I jabym się czuła śmielszą, mając go z sobą, lecz ni się godziło, ni przyzwoitem było.

Jakkolwiek niepozorny, biedny Prosper — mógł i on mnie skompromittować, gdybym ja jeszcze skompromittowaną być mogła!

Zdziwi się Zygmunta, gdy się dowie, że uciekła. Prosiłam Prospera i dał mi słowo, że nie wyda mej tajemnicy, że nie powie dokąd uszłam. Podróż mi się wydała krótką, taką miałam przybycia obawę.

Paryż mi był znanym, ale ten, do którego teraz

przybywałam, ten Paryż ubogich i pracujących — zupełnie oddzielony i różny od tego, w którym się ludzie bawią i próżnują, ten był dla mnie — nowym.

Ani na chwilę nie mogłam się zatrzymać na prawym brzegu Sekwany, aby mnie najskromniejszy hotel nie zruinował.

Zawieziono mnie na Rue Dominique S. Germain, do prawdziwie strasznej gospodyni — taniej. Dawny mój wstępnik do zabrukanych kątów, do cuchnących mieszkań, musiał ustąpić twardej konieczności.

Pokoik na trzecim piętrze ja i moje pakunki zajęliśmy cały. Mało miejsca zostało, aby się w nim obracać. Po cóż? Nazajutrz już musiałam szukać mieszkania stałego, bo i taki biedny hotel jest dla mnie za drogim.

Ludzie tu przecież żyją? tem powietrzem oddychają, tem pożywieniem się karmią, obracają wśród tych rynsztoków i lachmanów.

W tem ogromnym mieścisku ani żywej duszy znanej, cała rachuba na francuzkie serce i na moje ubóstwo. Bogatych wyzyskiwać mogą, lecz cóżby zyskali na mnie? Wiedzą, że jestem lub mam być artystką. Widzę, że tytuł ten wcale nie obudza poszanowania. To, co się zowie sztuką i, ci co się zowią artystami, tak dziś szeroko się rozlegli, iż w artyście rychlej się dorozumiewają może — zwolennika sztuki krawieckiej i fryzjera, niż malarza. A samych malarzy ile rodzajów i gatunków, począwszy od tego, co sufity maluje, aż do tego, co psuje płótna...

Po co mi się zachciało pracowni? Było to zachwalstwo z mojej strony, o stary nałóg — mogłam wybornie w lada dwóch pokojkach rozstawić stalugi. Pierwsza to popełniona omyłka. Wszystkie jakie, były do wzięcia, strasznie mi się zdały drogim; trafiłam nareszcie na jedną, pseudo-pracownię: po fotografii. Ta stała pustką pono kilka miesięcy; pośpieszyłam ją zająć.

Jestem na piątym piętrze, na dachu. Strasznie mi tu źle, ciasno, niewygodnie, wysoko, z usługą trudno; lecz trzeba znieść, znieść wszystko dla — dla miłości sztuki? ja nie wiem, czy dla godności własnej i swobody.

Liczę się z moimi skarbami, zmienionymi na franki: na jak długo starczyć mogą.

Tu, jak wszędzie, za omyłki płacić będę musiała, nowicyat odbywać, nim się do czegoś dobieję.

Wystawa doroczna była otwartą. Pośpieszyłam na nią, aby się przekonać, jak tu stoi sztuka.

Około trzech tysięcy płócien. O mój Boże! Las obrazów. Niektóre ściągęły oczy moje pięknosciami, wyrazem, nadewszystko efektem i blaskiem, umiejętność działania na oczy. I w tem jest część zadania sztuki, bo połowa ludzi potrzebuje być zmuszoną, aby się ku niej zbliżyła.

W tem lesie, na tem morzu, kilkadziesiąt arcydzieł — a reszta? Nie godzi mi się sądzić — rzemiosło? bezmyślne naśladowanie, niedojrzałe chętki. Jestem za surową? Ja z moim młynkiem tak-by tu biednie wyglądała jak ci, nad których losem boleję. Bracia to moi w nieudolności i ubóstwie.

Błądząc po salach ogromnych, odorzona, zmęczona, może jeszcze znużona drogą, popełniłam błąd drugi. Usłyszałam rozmowę dwóch mężczyzn przed obrazem jakimś popolsku. Urok tej mowy, której kilkanaście dni dźwięk się nie obil o moje uszy, jakieś stęsknienie za nią — nierozwaga! — ośmieliły mnie do wmieszania się w rozmowę.

Obaj ludzie niemłodzi, jeden siwy zupełnie, drugi, jeśli się nie mylę, z włosami poczernionymi — nie powabni: nie było więc w tem nic złego, że poprosiła ich o objaśnienia.

Spojrzawszy na mnie, z wielką grzecznością ofiarowali mi swe usługi. Powiedziałam im, że przybywam z kraju, że jakiś czas przebywałam w Dreznie, że się sposobie myślę na artystkę. To ich znacznie ostudziło. Nadskakująca grzeczność zmieniła się w ton prawie poufny i protekcyjonalny.

Rumiany bardzo ziomek, z włosami poczernionymi, oświadczył mi, że podróż przedsięwzięłam ryzykowną, że artyści w Paryżu mrą z głodu, a obrazy się sprzedają zabezpieczon: słowem, że tu niema przyszłości.

— Ale się wiele nauczyć można — rzekłam.

W tem drugi, siwy, odezwał się dowcipnie:

— Pani wie, że człowiek tego tylko nauczyć się może, co umie.

DWA ODCZYTY

pana

JANA SZCZEPANIAKA

„O trzęsieniu ziemi w Zagrzebiu i w okolicy.“

— To znaczy, że do Paryża tylko z wielkim talentem przybywszy, coś się zyska — dodałam. — Jest to stara prawda. Lecz, że nikt o własnym talencie sądzić nie może, jedzie się właśnie, aby tu go wystawić na próbę.

— *Très jolii!* — przerwał siwy, i już nie wątpię, że pani się ona powiedzie szczęśliwie.

Siwy spoglądał na mnie z ciekawością i pewnym niedowierzaniem. Mogłam się domysleć, że badał: do jakiej kategorii ma mnie zaliczyć. Opowiadałam mu się jako artystka, choć obejście się i powierzchność kazały mu się dorozumiewać, że i w innym bywałam świecie.

Patrzył, patrzył, w końcu znalazłszy się wobec zagadki, wolał jej nie rozwiązywać. Skłonił się grzecznie i odszedł.

Drugi, ów mocno rumiany, z włosami poczernionymi, zawałał się, jakby chciał iść za towarzyszem, ale pozostał przy mnie. Miałam szczęście widać obudzić jego ciekawość a może i — chętkę skorzystania z osamotnienia, w którym mnie widział. Podkreślał wąsa, prostował się i widocznie chciał mi się pokazać młodszym niż był. Stał się śmielszym, usiłując się przypodobać.

— Tak więc — odezwał się do mnie z pewną propozycją, przypominającą ludzi z 1830 roku, których widywałam u ojca — tak więc, szanowna rodaczka, w celach artystycznych odbyła tu podróż. Al! zapewne! zapewne! niema jak Paryż dla nauczenia się wszystkiego, dla nabrania smaku. Niech sobie mówią, co chcą, to istotna stolica świata.

Al — tu spojrział na mnie — i dodał: — Jakże, tak? sama jedna?!

— Sama jedna! — odpowiedziałam spokojnie.

— Odwaga ta, począł, uśmiechając się i podkreślając wyszwarcowanego wąsika — godna podziwienia — ale dowodzi zarazem pewnej nieznanomości niebezpieczeństwa, na jakie tu piękna, młoda, sama jedna artystka jest narażona.

Jako ziomek, czuję się w obowiązku ofiarowania jej moich usług.

To mówiąc, wyciągnął ku mnie rękę — tłustą, nabrzmiłą, grubą, z palcami włosom okrytymi i pierścieniami, ale troskliwie utrzymaną.

— Bardzo panu wdzięczną jestem i w przypadku — rzekłam — będę korzystała.

— Bez przypadku, szanowna rodaczka posłużyć się może ziomkiem — rzekł, dobywając karty, na której wyczytałam:

„Mr Albert Rola Pocieszynski
Chavalier & Co.“

Patrzył mi ciągle w oczy, skłoniłam się z uśmiechem, i widząc że p. Albert zaczyna być coraz natrętniejszym, pożegnałam go.

Widziałam jednak, że powoli za mną kroczył po salonach, alem go straciła z oczów.

Miałabym gotowego protektora, gdybym tylko trochę przebieglejszą była.

Myślałam, że się go już pozbyła, gdy po długiej wędrówce po salonach wystawy, u wyjścia Rola Pocieszynski zastąpił mi drogę.

— Szanowna rodaczka nie zechce mi dać swego adresu? — rzekł, uśmiechając się. Jakkolwiek artystką nie jestem, mam stosunki w kołach artystycznych, mam i inne, przez które mógłbym jej być użytecznym i wiele próżnych zabiegów oszczędzić. Tu bez protekcji nic się nie robi.

— Bardzo panu dziękuję — odparłam — lecz chcę popробować i rozpatrzyć się sama. Mieszkania stałego nie mam jeszcze.

Natarczywie przybliżył się ku mnie, usiłując chwycić za rękę.

— Wierz mi pani, że obyty z brukiem paryżkim człowiek nie byłby jej zbyt użytecznym.

Jeszcze raz podziękowałam; pokręcił wąsa, uśmiechnął się i pozostał nadąsany.

Widzę że wszystkiego co spotykam tu, że w istocie liczba artystów i — tych, którzy do imienia tego roszczą prawa, jest niezmiernie wielką. Chciałabym umieścić się jako uczennica u którego z słynniejszych pejzażystów, robiłam już kroki w tym celu z najzupełnijszym niepowodzeniem. Do żadnego ze sławnych dostąpić nie można, a ci, co mają pewną wziętość, chcąc dowiedzieć, że pierwszym nie ustępują, naśladowują ich pychę i przesadzają ją jeszcze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Na dochód nieszczęśliwych pobratymców naszych Chorwatów, dotkniętych świeżo okropną katastrofą, w Europie oniemal niesłychaną, p. Jan Szczepaniak wygłosił dwa odczyty o tejże katastrofie w d. 10 i 11 b. m. i r. Pan Szczepaniak, urodzony w 1848 r. w Galicyi, w powiecie Sandeckim, po ukończeniu studiów w technikum krakowskiej i wiedeńskiej, otrzymał urząd inżyniera i, wstąpiwszy do ministerium handlu, brał udział w wielu pracach przy budowie kolei żelaznych w różnych zakątkach Austro-Węgier, co mu dało sposobność zapoznania się z różnorodnymi i różnobarwnymi narodami, składającymi ludność tego państwa, zwłaszcza z dziećmi szczeplu słowiańskiego. Od lat kilku bawi w Chorwacji i mając możność zapoznania się z Chorwatami wszelkich sfer, począwszy od ludu, uznaje ich bardzo słusznie za najbliższy nam pod względem charakteru naród sławiański. W świecie naukowym dał się już poznać niemiecką rozprawą p. t.: *Universal Nivelirinstrument als Tacheometer*, wydaną w roku 1878 u Hartlebena w Wiedniu, a traktującą, jak to sam tytuł wskazuje, o narzędziu niwellacyjnym, służącym do szybkich pomiarów; rozprawkę tę nader pochlebnie ocenili specjaliści, a zwłaszcza Keck, professor politechniki w Hannoverze. Za prace swoje w czasie groźnych wylewów Cissy i Drawy w 1878 i 1880 r. pan Szczepaniak otrzymał od rządu austriackiego wielki krzyż zasługi z koroną, co jest dowodem, że prace te w sposób chlubny wykonał. W czasie trzęsienia ziemi bawił w Zagrzebiu, a należąc do komisji, która miała na celu niesienie pomocy nieszczęśliwym i zbadanie stanu miasta, oraz okolicy, bacznie śledził wszelkie objawy i następstwa okropnej katastrofy. Nazbierawszy danych, postanowił zapoznać publiczność z katastrofą; zanim jednakże wystąpi z opisem w oddzielnej książce, obznajomiaszszsze koła zapomocą odczytów, przeznaczając dochód na szlachetny cel pomnożenia funduszów, jakie mają pomódz pobratymcom naszym w dziele naprawy nieprzeliczonych szkód, które katastrofa wyrządziła.

Prelegent odczyt swój rozpoczął od opisu wypadku pierwszego wstrząśnienia ziemi, które tak niespodzianie nawiedziło Zagrzeb dnia 9 Listopada r. z., o godzinie 7 rano. Potem wyliczył wiele wypadków trzęsienia ziemi, z niektórymi danymi, z czego poznaliśmy, że katastrofa zagrzebska jeszcze nie może się równać z klęskami tego rodzaju, jakim podlegają miasta i wsie w Chili i wogóle pod Kordelierami, Japonia, a wreszcie jakiej podległa Lizbona w zeszłym wieku. Opisując skutki wstrząśnienia, jakie p. Szczepaniak oglądał wraz z całą komisją, przebiegł on nader szczegółowo budynki zagrzebskie, opowiadając o zapadłych sufitach, zwalonych kominach, murach ogniochronnych, popękanych ścianach i t. d.; przy czem zwrócił uwagę obecnych na plan Zagrzebia, wygotowany przez siebie; na planie tym oznaczone były kolorami stopnie uszkodzenia budynków, począwszy od czarno oznaczonych, zruinowanych zupełnie, aż do blade-różowych, które słabo nadwężonemi zostały. Z planu poznaliśmy, że počet tych ostatnich wynosi prawie połowę, za to ani jeden dom bezkarnie klęski nie uniknął. Niektóre budowle były drogiemi narodowi, jak np. katedra, kościół św. Marka, kościół św. Katarzyny, Akademia południowo-słowiańska, gmach pięknej architektury, wzniesiony z ofiar narodowych i zaledwie wykonany tak, iż Akademia dopiero później miała się wprowadzić do niego, mianowicie d. 30 Listopada r. z. Zagrzeb, jak mówił pan Szczepaniak, składa się z dwóch części: *górnego i dolnego miasta*, do czego my dodamy jeszcze trzecią dzielnicę: *miasto biskupie*, tak zwany *Kaptol*

(kapituła), gdyż to historycznie i administracyjnie rzeczywiście oddzielną część stanowi. Miasto górne, siedziba władz rządowych, nader malowniczo na płaskim szczycie góry *Grycza* położone, mniej stosunkowo ucierpiało, aniżeli dolne, co prelegent przypisuje większej spoiistości gruntu skalnego. Dziwną przytem zauważył p. Szczepaniak igraszkę przyrody, że, gdy waliły się grube mury, w jednej cukierni figurki cukrowe i słoiki z cienkiego szkła poruszyły się tylko z miejsca, nie potłukły się wcale. Najważniejsze dla nauki spostrzeżenia porobił p. Szczepaniak na cmentarzu centralnym, gdzie nader starannie powymierzał kierunek i stopień poruszenia się pomników; wymiary te mają większe dla nauki znaczenie, aniżeli uszkodzenia w mieście samem, gdyż w tem ostatnim jedne domy wpływały na drugie, powstrzymując lub zwiększając zagładę, tam zaś każdy pomnik stoi osobno i ulegał tylko działaniu bezpośredniemu samej katastrofy.

Bardzo ciekawe były szczegóły co do wpływu klęski na ludność. Jakby z miłosierdzia Opatrzności, straty życia w tym wypadku były bardzo małe, daleko więcej było pokaleceń mniej lub więcej ciężkich. Niektórzy ludzie zachowali się niemal w cudowny sposób. W jednym domu zapadł się sufit w sypialni pewnego młodzieńca; przerażony przedwstępny hukiem, skrył się pod łóżko i tym sposobem życie sobie ocalił. Można sobie wyobrazić przestrach ojca, gdy, otwartwszy drzwi, ujrzał łożo synowskie, zasypane gruzami, a potem radość na widok ocalonego syna. W pałacu biskupa Michajłowicza, bawił biskup Posilowicz z Senja, w komnacie na drugim piętrze; przybiegły z wieścią strzelec, chciał wyskoczyć oknem, ale biskup zatrzymał go, mówiąc: „Tu będzie nasz grób“ i niebaczego od niechybnego zabicia się ocalił. Zachowanie się ludności zasługuje na uwagę. Lubo wiele osób uciekało co żywo z miasta, jednakże nie brakło i takich, co dowiodły, że są godnymi potomkami junaków Sigeeckich, i postanowiły wytrwać do końca. Kommissya, zwiedzając domy uszkodzone, z niejednego kazała mieszkańcom wyprowadzać się, przyczem działały się wrzaskające sceny. I tak młoda jakaś dziewczynka na takie *dictum acerbum* rzekła: „Tu urodziłam się, tu stała trumna mojej matki, niechaj i ja tu życie położę“. W przytulku dla starców jakaś staruszka mówiła: „Gdzież pójdę? pozwólcie mi tu zostać jeszcze dni kilka, póki nie umrę“. Przed samą katastrofą para jakaś wybierała się do ślubu; kościół, gdzie miano ją połączyć nierozzerwalnym związkim, podległ zniszczeniu; nieustraszona tem, udała się do mieszkania kapłana, i tam przysięgła sobie dogonną miłość i wierność.

Wielkie to jeszcze było szczęście, że katastrofa nastąpiła w tak wczesnej godzinie; o godzinę później byłoby może niemało ofiar z życia młodzieży, nagromadzonej po szkołach publicznych, i z urzędników po biurach. Za to straty w mieniu publicznem i prywatnem są daleko znaczniejsze, aniżeli można było sądzić ze współczesnych opisów gazeciarskich, i to nietylko w samym Zagrzebiu, ale i w okolicy, do której prelegent w drugim przystąpił odczyt. Nie możemy przytaczać całej masy szczegółów, niesłychanie bolesnych, z których najprzykrejsze wrażenie robiło zniszczenie w Remetach (Remete t. j. Eremicy pustelnicy), gdzie stał kościół i klasztor po zniesionych za Józefa II-go Paulinach, zwanych tutaj *białymi mnichami (bieli fratri)*. Paulini odgrywali ważną rolę w cywilizacji chorwackiej, a klasztor remecki, założony w XIII wieku, do rzędu ważniejszych należał.

W końcu odczytu pan Szczepaniak przebiegł przesady mitologiczne różnych ludów, a potem historyj hypotez naukowych, dotyczących owego zjawiska, a przyznając każdej z nich, a przynajmniej z nowszych, cząstkową słuszność, oświadczył się za możliwością, iż trzęsienie ziemi jest rezultatem różnych przyczyn, zarówno tellurycznych jak i meteorologicznych i astronomicznych, potwierdzenia czego należy spodziewać się, od ścisłych badań naukowych, opartych na sumiennie i starannie zebranych danych. Odczyt zakończył p. Szczepaniak słowy, że trzęsienie ziemi dotąd nie przestaje być jeszcze „wielką tajemnicą Bo-

zą, w której przerażony duch ludzki, musi uznać wszechmoc i wielkość Pana.

Że do wyjaśnienia kwestyi ze stanowiska naukowego nie mało przyczyni się praca p. Szczepaniaka, nie wątpimy. Dają nam niepłodną nadzieję już to dane, wypowiedziane w samym odczycie, już to plany i rysunki nader starannie przez prelegenta wykonane. Między nimi szczególnie zdumiewał wielki plan warstwowy, przedstawiający graficzny obraz wstrząśnięć z wyrażeniem w rysunku ich natężenia, skutków i towarzyszących okoliczności. Planów było kilkanaście, nadto między publicznością krążyło kilkadziesiąt wielkich fotografii zruinowanych domów i kościołów.

Oba odczyty, trzymane na stanowisku ściśle naukowym, nie miały należytej dostępności i powabu zewnętrznego, ztąd, zwłaszcza drugi, nie napelnily sali należycie. Wszelako obecni z całej duszy wyrażali szczerem poklaskiem uznanie zdumiewającej pracowitości, zamiłowania nauki i gorliwości prelegenta, który niewątpliwie i wiedzy niemałe odda przysługi i u pobratymczych Chorwatów zjedna szacunek, i dla siebie, i dla narodu, którego jest synem.

B. G.

Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń, w Marcu 1881 r.

Oszczęstwa i napaści. — Szaly niemieckie z powodu rozwoju ludów słowiańskich. — Wesele krakowskie Lipińskiego. — Wystawy obrazów. — Pracownia Makarta, jego *Kobiety w kąpielu*. — Wystawa fotograficzna sztuczna. — Wystawy drobin, psów, hijacyntów. — Stowarzyszenie kobiece. — Ognisko domowe dla kobiet i dziewcząt. — Wielozęstwo.

(?) Zaczynam od sprawy najbliższej nas obchodzącej, a zarazem najgłośniejszej. Napaści gazety półurzędowej berlińskiej i Katkowa na Polaków, nie były oryginalne; prolog do niej odegrały już poprzednio tutejsze niemieckie nieprzejednane gazety, które z całą przewrotnością usiłowały na nas rzucić oskarżenie, jakoby z ich przyczyny tutejsza Izba Posłów nie była wyraziła kondolencji, z powodu strasznych wypadków petersburskich. Była to potwarz tem bezczelniejsza, ile że właśnie potwarcy byli winowajcami. Ponieważ jednak potwarz szeroko rozgłoszona została, więc, sądząc, należało mi rzecz wyjaśnić. W poufnej rozmowie posłów z krajów słowiańskich, zastanawiano się nad tem, że należy dopełnić aktu między-narodowego i morderstwo potępić. Polacy oświadczyli, że są za tem, i tylko prezes, Smolka musi w pierw porozumieć się i upewnić, że objaw żądany odbędzie się zgodnie. Otóż okazało się, że Niemcy skorzystałoby ze sposobności, żeby urządzić „hecę“ przeciw większości Izby i przeciw rządowi, i to w podwójnym kierunku, wewnętrznym i zewnętrznym. Nawewnątrz byłoby objaw ten wyzyskali jako panslawistyczny, przeciw-austriacki, a sprzeciwiając mu się, byłoby przy takiej delikatnej sprawie spowodowali skandal w tym celu, ażeby okazać, że za teraźniejszego rządu nawet stosunki grzeczności względem innych państw nie są pewne. Byłby to skandal dotkliwy, przykry dla dworu, więc kompromittujący dla gabinetu i dla większości Izby — chociaż nie przez nią, ale przez Niemców sprowadzony.

Położenie było takie, że żaden marszałek Izby, a już najmniej właśnie Polak, nie mógł brać odpowiedzialności za możliwy skandal, wiedząc, że ma się do czynienia z opozycją centralistów, germanizatorów, którzy grają „va banque“, i którzy nawet własnego cesarza nieraz zaczepiają w swoich nieprzejednanych wystąpieniach. Oto są powody dla czego Izba Posłów w Wiedniu kondolencyi nie objawiła; wszelka inna relacja jest fałszem i oszczerstwem.

Jak się młodzież naukowa polska na sprawy te zapatruje, świadczą obrady w towarzystwie *Ognisko*. Postawiono na wydziale następny wniosek do uchwały: „Młodzież polska w Wiedniu, która, pielęgnując narodowość swoją, nie miesza się do

bieżących spraw politycznych, ale wyłącznie naukom się oddaje, czuje się obowiązana, wobec wypadków petersburskich oświadczyć, że morderstwa i skrytobójstwa potępią, a zgodnie z przekonaniem całego narodu ufa, iż na drodze pokojowej pracy i powolnego rozwoju stosunków przyrodzonym i historycznym prawom narodu polskiego stanie się zadosyć“. Wydział jednomyślnie przyjął ten wniosek, lecz odstąpiono od zamienienia go w uchwałę i nie zwołano zebrania, a to z powodu, żeby Niemcom nie dać sposobności do zaczepki, których bądź co bądź uniknąć należało. Niemniej fakt jest i stanowi świadectwo.

Że Niemcy *wściekają się* z powodu utraty władzy i wyłącznego panowania; z powodu, że Polacy odzyskali prawa, że Czesi otrzymują narodowy uniwersytet, że Słowacy wysoko już podnieśli swoją odrębną, narodową świadomość, że dla polskiego Szlaczka nadchodzi czas sprawiedliwości, że Kroaci i macierz w Zagrzebiu świetnie się rozwijają, że „Drang nach Osten“ znalazł dzisiaj swoją granicę u granic Austrii — to nareszcie można zrozumieć. Pokazało się, że wiekowy ucisk, przewaga materyalna i przewaga kultury, nie zmogły ludności słowiańskich. Co więcej, obecnie pod sterem ministrów Polaków Austrii, zaczyna się właśnie wydobywać z marazmu, w który ją rządy niemieckie zepchnęły — i odrazu nawet kredyt państwa stanął na takiej wysokości, na jakiej nigdy jeszcze nie był. Nic więc dziwnego, że nie mogą Niemcy przebaczyć Polakom ich zdolności do własnego samorządu i do rządzenia nawet państwem. Kiedy przyszyły im w pomoc głosy słowianożercze, jeden Katkowa, drugi gazety berlińskiej, która cierpi wielki głód słowiańskiego mięsa, choć je tam jedzą już od dziesięciu wieków, było wielkie gaudium między *tutejszymi* Prusakami.

W samą porę też przybył tu obraz Lipińskiego, który stanowi plastyczną protestacją przeciw oskarżeniom na Polaków wymyślonym. Pamiętną jest scena, kiedy cesarz austriacki w Krakowie wyszedł w nocy o godzinie dziewiątej na rynek, bez eskorty, tylko z adjutantem i z namiestnikiem Potockim, między tłum 30 tysięcy, który się dopiero rozstępował i otwierał przejście do Sukiennic, gdzie się odbywało wesele krakowskie. Tam ludność składała hołd; kontusze, karabele, sukmany, kapoty otoczyły cesarza. Tę scenę przedstawia obraz. Biję z niego wesoła, narodowa, krakowska żywotność, szczerłość, uczciwość; kontuszowi obywatele wiodą do cesarza paki nowożeńców niosące korowaje; cała halla Sukiennic jasno oświetlona, naphczana ludem w narodowych, uroczystych strojach czerwonych i białych; dzieci, dziewczki, parobcy, kobiety, starcy, członkowie rad powiatowych, portretowani, nie jeden w starożytnym, odziedziczonym ubiorze, przedstawiają tu cały naród, który chce i umie być wdzięcznym, który pragnie tylko spokojnego rozwoju, wolnego oddechu. Dusza się raduje, patrząc na te typy i grupy, którym przygrywa wiejska muzyka: niema czasu ani ochoty wdawać się w krytykę obrazu i wymieniać słabe strony, tak treść jego panuje nad widzem; — zresztą łatwiej go sobie wyobrazić możecie, niż inny jaki obraz, gdyż taki sam umielibyście w rzeczywistości stworzyć mając po temu wszystkie żywioły u siebie. Przechodzę przeto do innych obrazów, mamy tu bowiem zawsze dwie wystawy: w Kunstvereinie i w Künstlerhausie.

Z polskich obrazów pojawiły się: *Mroczkowskiego* z Krakowa *Kulig*. Towarzystwo kuligowe na saniach i konno najeżdża szlacheica, który je z żoną przed domem przyjmuje. Obraz przyjemny, prawdziwy, starannie wypracowany. *Kowalskiego* nocna jazda — powozem — zaleca się dobrym pejzażem i oświetleniem; chwałą tu ten obraz. *Siemiradzki* dał utwór zapewne ładny, ale nie dziwnego, że się nie podoba, gdyż przyzwyczajeni jesteśmy widzieć to nazwisko na rzeczach wielkich. Obraz przedstawia na tle bogatej roślinności dwóch nagich (klasyecznych) chłopców łapiących w palce motyle. Jeden z nich pięknie upozowany, drugi trochę drewniany i kwiaty trochę woskowe; może się mylę, wołałbym się mylić. Głośny jest wielki obraz Steinle'go, akwarella: „Wesele w Kanie Galilejskiej“. Ma to

być mistrz i obraz ma być trzymany w stylu religijnym; przypomina nieco Dürera. Może być, że dla prostej wiary, szczerzej i naiwnej, obraz ten jest właściwy, ale jako dzieło sztuki żadnego nie robi wrażenia: jakiś błąd, postacie sztywne i konwencyonalnie słodkawe, nimbusu ani śladu, życie ledwo że w dwóch postaciach widne; jak uczucia, tak i techniki trudno się dopatrzeć. Szczęśliwym co do rozgłosu jest Zichy, ten sam który *popetuił* ohydny obraz: *L'heure des revenants*. Taż sama zabląkana fantazyja i chybiony pomysł okazuje się w obrazie: „Nowożytna syrena“, z dodatkiem, że i rysunek błędny i malowanie zaniedbane. Jakaś podejrzana istota z ćwierćświata, brzydka, ruda i niekształtna na podniesieniu igra z klejnotami, a u stóp jej jedni leżą już martwi, inni rozpaczają, starcy się cisną i t. p. Wstrętne to i poprostu bez sensu; miał być obraz symboliznym, miał być ideowym, lecz jest tylko bohomazem pretensyjnym. Szkoda, że utalentowana uczennica Zichy'ego, *Mary*, zdaje się popadać w naśladownictwo excentryczności mistrza.

Zwraca uwagę „Audyencya u papieża“, obraz raczej dekoracyjny, ale dobrze ugrupowany; piękny jest utwór tak nam sympatycznej pani *Jerichau-Baumann*: „Po przegranej bitwie“, który do nas rzewnie przemawia i wiele przypomina. Z polskich artystów mają jeszcze po jednym obrazie: Lesser, Loeffler i Koniuszko. Zresztą, tak tu, jak w Künstlerhausie, przeważa, a raczej wyłącznie panuje, malarstwo rodzajowe — sceny i scenki domowe niewyczerpane, wiele przyjemnych — i krajobrazy wierne, malowane biegle, ale rzadko poezyjnie owiane. Nie ginie wcale w tłumie wieczorny krajobraz *Sidorowicza*.

Uderza wielce brak pomysłów, śmiałości, owej właściwej twórczości, w braku której może być szkoła, rysunek, ale niema ducha, sztuki, niema tego, czem bądź co bądź nasi artyści celują. Nie wiem czy to jest wpływ Makarta, ale jego kierunek odpowiada temu poziomowi, tylko, że on sam śmiało wojuje kolorytem i zachwyca idealizowaniem bujnej natury. Zdaje mi się, że to nie daje przecież wielkiej sztuki. Zwiedziłem jego pracownię. Drewniany budynek w ogrodzie, ale wewnątrz przepych, bogactwo, zbytek... artystyczny. Ściany nigdzie nie widać, tylko gobeliny, w przedpokoju i dwóch salach pełno rzeźb, obrazów, antyków, materij, krytych schodów wiodących na galerje, zwierciadła, fortepian mahoniowy, pełno cacek artystycznych, miękkich ottoman i t. p. Szkice dawniejszych obrazów i świeże portrety dam z tutejszej arystokracji w kostiumach charakterystycznych są jakby prologiem do obrazu, nad którym właśnie artysta-profesor pracuje: „Kobiety rzymskie w kąpielu“. Wspaniała łaźnia, wyborna woda, matrony młode i starsze w wszelkich pozycjach kąpielnych, lub spoczywające bez ubrania na sofach, służebne pomagające innym i kąpiące dzieci... każdy szczegół wyborny, kształty śliczne, malowanie bujne, które aż razi oczy (i podobno prędko blaknie, plowieje); ale to wszystko zimne, ale to wyłącznie kult kształtu, ale nawet bez zmysłowego ognia; malowanie wspaniałe, ale czy to sztuka? nie wiem.

W muzeum była wystawa fotograficzna, przedstawiająca historję tego wynalazku od pierwszych początków panotypii, aż do dzisiejszych obrazów fotograficznych, a przytem wszelkie przyrządy; byłby to zajmujący przedmiot do odczytu ilustrowanego okazami i demonstracyami. Między okazami była i fotografia odnalezionego niedawno kopii Ateny Parthenos Fidyasza. Wiecie, że zrazu rozgłoszono odnalezienie oryginału i że widziano w tem wróżbę dla Grecyi, która się gotuje do odzyskania reszty swoich krajów z zaboru tureckiego. Posąg to niewielki, mające prawidłowe linie, ale surowe, jest niejako dorycki, nie joński. Postawa, oczy, cały wyraz znamionuje spokój; na głowie hełm ze sfinxem zakrywający czoło, z lewej strony o nogi oparta silna tarcza, z głową Meduzy. Prawa ręka trzyma (uszkodzoną) Boginią Zwycięstwa. Bogini ma ręce nagie, a ubrana w chiton, po którym splywa fałdzista płaszcz. Zdaje się, że przedstawiona jest jako zwiastunka zwycięstwa — i uznano, że jest dziełem znakomitem. Zrozumiemy znaczenie tego bóstwa dla Greków, je-

żeli sobie przypomniemy n. p. naszą Matkę Boską Częstochowską, Kordeckiego i t. p.

W „salach kwiatowych“ była wystawa drobin i psów. Codziennie roilo się tam kilka tysięcy publiczności, pomimo, że zwiedzanie wśród piana, szekania, wycia i ścisku było i utrudnione i niebardzo przyjemne. Ależ kurki i koguty, gołębie jakżeby mogły niepociągać gospodyń? Dr Rasp z Krakowa przysłał śliczne okazy, a warto pamiętać, że hodowla drobin, na wielką skalę prowadzona, prócz zachołu prawie nic nie kosztuje i przynosi 300% zysku. Kapłon kosztuje tu 4 i 6 guldenów — za przykładem Paryża zaczyna ją i tu powstawać t. z. kolonie drobin; a u nas, czemuż się to panie do tego nie biorą. — Okazy psów: stróżów, wyźłów, chartów, jamników, owczych, św. Bernarda i t. d. były nieprzeliczone; ceny dochodziły do 1,000 guldenów. Przekonała wystawa, że się ludzie zajmują naprawdę utrzymaniem i rozwojem gatunków tego pożytecznego i tyle sympatycznego zwierzęcia. — W poblizkiej wiosce Hitzing była wystawa hiacyntów; 6,000 okazów, każdy inny. I tam tysiące jeździły. Widać, że hiacynt jest popularnym; ale bo też było co oglądać. Róża miesięczna, geranium i hiacynt z cebulki wyhodowany: to duma i radość i najbardziej wyrobny. Kult kwiatów jest tu powszechnym. Na wystawie były wszystkie kolory i wszystkie odcienie kolorów aż do czarnego hiacyntu, który przestał być miłym, jak niegdyś czarny tulipan, w epoce, gdy giełdy we Francji i w Niderlandach były sceną namiętnych targów na tulipany. (Powieść Dumasa: *Le tulpe noir!*) Dostanie cebulki pełnej za kilka centów, lecz były po 300, 400 aż do 1,000 guldenów. Są to płody natury, ale podbitej, kierowanej, posłusznej człowiekowi, który kształt, pełność, barwę i czas kwitnienia nadaje i dyktuje. Są to więc okazy pracy, wytrwałości, cierpliwości ludzkiej — a wreszcie i chęci zysku.

W ubiegłym miesiącu odbyły się zgromadzenia roczne niektórych z tutejszych stowarzyszeń kobiecych. Wykazują one liczbami działalność szeroko rozwiniętą. Wiedeńskie stowarzyszenie gospodyń, pod przewodnictwem pani Ottylii Bondy, liczy 1,660 członków. W sklepach jego wynosi obrót roczny około 300,000 guldenów. Stowarzyszenie to rozdziela nagrody służącym za wierność i pracowitość; w r. 1880 było nagród 20.

Stowarzyszenie pomocy dla dziewcząt ma za zadanie kształcenie ubogich dziewcząt fachowo, tak, żeby im chleb dać w rękę; są szkoły zwykłe, rysunkowe, handlowe, służących, białego szycia, haftów, krawiecczyn i t. p. — Ewangelickie stowarzyszenia kobiet ma na celu ogólne miłosierdzie, opiekuje się dziećmi, starcami i choremi, wyszukuje ukrytą nędzę i niesie ulgę. — Od niedawna istnieje stowarzyszenie *Frauenheim* — ognisko domowe dla kobiet. Odezwa mówi: „Kilka kobiet wiedeńskich zebrały się i utworzyły stowarzyszenie w tym celu, żeby dla wykształconych, owdowiałych lub niezamężnych, samotnych kobiet, pozabawionych rodzinnego i towarzyskiego życia, wystawionych często nietylko na niedostatek, ale i na upokorzenie, obmyśleć przytułek domowy. Zadaniem stowarzyszenia jest dawać im mieszkanie i opiekę w osobnym „ognisku domowym“. Nie będzie to dom dobroczynności, ale wspólne gospodarstwo przez same prowadzone, miejsca płatne, w miarę możliwości i bezpłatne, dom, towarzystwo i opieka. Niema żadnej klauzury, a za miesięcznym wypowiedzeniem, wolno się usunąć“. W kilku miastach w Niemczech są już takie ogniska i bardzo pomyślnie się rozwijają. Równocześnie powstało stowarzyszenie dla utworzenia *Beamtentochterheim*, ogniska dla dziewcząt, sierot po urzędnikach. Zarządy gorąco się krzątają, i wkrótce ogniska te będą utworzone, o czym nie zaniedbam donieść po zwiedzeniu ich.

Na zakończenie wspomnę, że stanęła w Austrii na porządku dziennym kwestya włożeństwa, a to z powodu, że nowi poddani austriacy, mahometanie w Bośni i Hercegowinie, od prawa i zwyczaju włożeństwa odstąpić nie zechcą; tymczasem kodex austriacki włożeństwa nie dopuszcza. Powstaje przeto mnóstwo trudności majątkowych, spadkowych, ogólnie prawnych. Nad kwestyami spornymi obradowano już w klubie pra-

wniczym i zdania najrozmaitsze były uzasadniane. Zdaje mi się, że tylko wpływ europejskiej cywilizacji przyjdzie prawnikom w pomoc i spowoduje zmianę sposobu życia.

IRLANDYA

RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł).

(Dalszy ciąg).

3. Kiedy ku końcowi wieku XVIII-go rewolucya francuzka wstrząsnęła całą Europą, nigdzie jej wrażenie nie było tak ogromne jak w uciśnionej Irlandji. Zaczęto się domagać wolności, nie w duchu angielskim, jako feodalnego przywileju, ale owej wolności francuzkiej, wyrozumowanej racjonalnie z praw człowieka. We wszystkich umysłach wrzały plany odrodzenia społeczeństwa, reform politycznych i socyalnych; wszystkie oczy były na Francją zwrócone; dla niej wszystkie sympaty; milicya dublińska nazwała się gwardją narodową, obchodziła francuzkie święto wolności, a mówcy w klubach i wiecach ogłaszali się obywatelami świata, wnosząc toasty za wszechwładztwo ludu i prawa człowieka.

Zmienił się też stanowczo i duch milicyi irlandzkiej; dotychczasowy jej patryotyzm sekciarski i egoistyczny, względny raczej dla katolików, aniżeli sympatyzujący z nimi, rozszerzył się i uszlachetnił. Teraz ochotnicy milicyi połączyli się z nimi jak z równymi, i na znak tego przybrali nazwanie *Zjednoczonych Irlandczyków*. Zaczęło się dopiero istotne braterstwo, nietylko w sposobie myślenia, ale w obyczajach i obejściu. Jest to ważna era w historii emancypacji irlandzkiej. Nie byli to już owi ochotnicy, co się uzbroidli przeciwko napaści cudzoziemskiej, i żądali reform prawnych w duchu wigowskiej opozycji. Nie amerykańskie ich teraz ożywiały wyobrażenia, ale francuzkie; z Francją otwarciem sympatyzowali; gotowi spotkać radośnie wylądowanie jej wojska; domagali się teraz wyrwnięcia i wykorzenia z gruntu starego porządku rzeczy, brzydząc się półśrodkami; wołali głośno, że trzeba zrzucić jarzmo niewoli angielskiej, zerwać z Anglią, zniszczyć dla dobra ludu bezecną arystokrację. Takie były dążenia i takie mowy *Zjednoczonych Irlandczyków*. Zaczęli też szczerze pracować nad sprowadzeniem do kraju swego wojsk francuzkich. Naczelnik stowarzyszenia, katolik *Wolf Tone* wysłany został do Dyrektoryatu i naradzał się z generałem Hoche o środkach wylądowania Francuzów w Irlandji.

Tymczasem Anglia, widząc to niebezpieczne burzenie się umysłów, pośpieszyła je zlagodzić przez kilka ustępstw. Najprzód otwarta została katolikom adwokatura; dozwolono rzemieślnikom i kupcom katolickim mieć nieograniczoną liczbę uczniów i czeladzi, tudzież uchylono prawo zabraniające małżeństw między katolikami i protestantami. Następnie zniesiono całkowicie resztę przepisów nakazujących katolikom pod pewnymi karami stosować się do obrządków angielskich, i przypuszczono ich do urzędów cywilnych i wojskowych z niektórymi jednakże wyjątkami. Była to tak nazwana trzecia emancypacja katolików (1793).

4. Od tej jednak epoki zaczęła się w Irlandji wyraźna reakcja. Krwawe sceny wrześniowe w Paryżu 1792 fatalne sprawiły wrażenie; poruszenie republikańskie zostało sparaliżowane. W Sierpniu jeszcze tego roku wigowie trzymali ze *Zjednoczonymi Irlandczykami*; duchowieństwo katolickie również. Rok 93 wszystko przemienił; rozchwiał się marzenia o wolności. Znacomity Burke, dotychczas obrońca Irlandji, cofa się; wigowie i księża katolicy, oburzeni niereligijnością Francji oddzielają się od republikańców całkowicie, i kiedy wniesiono do Parlamentu w r. 1794 projekt powszechnego głosowania, Grattan z całą mocą mu się oparł. Tem chętniej wielu

protestantów, co niebardzo szczerze do sprawy rewolucyjnej przystało, znalazło teraz powód do jej porzucenia.

Postanowił z tej reakcji skorzystać rząd angielski, i miarkując że nie znajdzie w massach oporu, energiczne przedsięwzięł środki. Milicya została skasowana i rozbrojona i nadal zakazane formowanie jakichkolwiek korpusów bez upoważnienia władzy; miasta poosadzone mocnymi garnizonami; dyskusye publiczne w klubach zabronione i ogłoszone prawo zakazujące na przyszłość wszelkie zgromadzenia w formie konwencji narodowej.

Stowarzyszenie atoli *Zjednoczonych Irlandczyków* nie przestało istnieć i działać tajemnie, ponieważ jawnie nie mogło. Rokowania z Francją przez głównych jego członków prowadzone, nie są bez skutku; *Wolf Tone* użył na to całego zapалу i całej zręczności. Expedycja *Hoche'a* nie udała się dla różnych przyczyn; oczekiwano jednak Francuzów cochwila; przygotowano plan ogólnego powstania, mającego wybuchnąć natychmiast po wylądowaniu tychże. Ale tak był nieprzyjazny bieg okoliczności, tak rozmaite przeszkody opóźniały przybycie francuzkiej wyprawy, że powstanie od dnia do dnia odkładane, nie mogąc bez ostatniego dla siebie niebezpieczeństwa dłuższej cierpieć zwłoki, wybuchło nareszcie, nie czekając sprzymierzeńców i przez to w inny sposób fatalniej się jeszcze zgubiło.

Nie miało zresztą to powstanie warunków pomyslnego rezultatu. Najprzód kilkakrotne zwłoki zdyskredytowały je u ludu; powtórne źle było prowadzone i przez naczelników ze sobą niezgodnych; nareszcie, odepchnięte przez ogół arystokracji, nie znalazłszy też sympatyi u klasy średniej, musiało się tylko na ludzie ograniczyć, złożonym także ze sprzecznych żywiołów: tu katolicy dobijający się wolności religijnej, tam odwieczni ich wrogowie prezbyterianie, pragnący rzeczypospolitej, przypadkowo tylko z tamtymi połączyli.

A jednakże krwawe dzieje Irlandji powiększyły się jeszcze stronnicy w niczem co do swej okropności nieustępującą najniezwyklejszym epokom poprzednim. W zapale walki dopuścili się obie strony wszelkich okrucieństw wojny domowej i religijnej; po jej ukończeniu zwycięzka Anglia pastwiła się nad zwycięzonymi z niesłychaną tyranją. Do 30 tys. ludzi kosztowało to powstanie, a pożogi i zniszczenia głównie przez armię angielską dokonane, na 80 milionów fr. szkody zrzuciły. Skutkiem ostatnich był powszechny głód przez dwa lata. Już po uśmierzeniu powstania przybyły dwa korpusy francuzkie zbyt były słabe, ażeby mogły się utrzymać. Po upartym boju, otoczone przez dziesięć razy liczniejszego nieprzyjaciela, musiały się poddać; jeden na lądzie już, a drugi w zatoce Sevilly.

Taki był koniec ostatniego usiłowania Irlandji ku wybicciu się na niepodległość.

5. Anglia postanowiła korzystać ze zwycięstwa i zacząć najprzód od zniesienia zawady, jaką znajdowała w irlandzkim parlamencie, którego przekupywanie wymagało zawsze wiele zabiegów i wiele pieniędzy. Pierwsza podana w tym celu propozycja parlamentowi irlandzkiemu w r. 1799 została odrzuconą. Ale rząd angielski niezrażił się pierwszą trudnością. Tak długi czas kupowano większość tego parlamentu, iż nie żał było wysilić się raz ostatni i przekupić tak, aby już nadal bez przekupstwa się obeszło. Płacono tedy na ogromną skalę i nie bez skutku; to samo zgromadzenie, które nie chciało wyrzec swego rozwiązania i zaguby w r. 1799, wyrzekło je w 1800 (26 Maja) większością 118 głosów przeciwko 73. Parlament tedy irlandzki przestał istnieć. Kosztowało to rząd angielski 31 milionów fran.

Zresztą niezaprowadzono w Irlandji żadnych innych zmian, ani nawet pozbawiono jej reprezentacyi; do Izby bowiem parów angielskich przyjęto 34 parów irlandzkich, a do Izby Niższej 105 irlandzkich deputowanych.

Między zobowiązaniami jakie przyjął rząd angielski względem Irlandji, uzyskawszy od jej parlamentu akt samobójstwa, było także zupełne polityczne równouprawnienie katolików. Oszukano

ją jednak. Wprawdzie ówczasowy pierwszy minister Pitt pragnął i chciał szczerze dopełnić obietnicy, ale znalazł zacięty opór w królu Jerzym III i dlatego wziął dymisyjną.

Miała prawo Irlandya oburzać się na taki zawód; ale nauczona tylu nieszczęściami, zrezygnowała się prawnymi już tylko środkami potrzebne reformy pozyskiwać. Wolność druku i wolność stowarzyszeń dostarczyły jej powolnych lecz bezpiecznych narzędzi dla dopięcia tego celu. W r. 1810 utworzyło się Stowarzyszenie Katolickie mające na celu zjednoczenie wszystkich usiłowań kraju, dla uzyskania prawną drogą emancypacji politycznej katolików. Stowarzyszenie to nieraz zmuszone zmieniać nazwę, formę i organizację swoją, nigdy nie zmieniło celu. Kierowane z początku długi czas przez Jana Keogh, a następnie przez O'Connella pozyskało wszechwładny wpływ w kraju, stało się istotną potęgą i władzą narodową.

Kilkunastoletnie jego usiłowania nie pozostały bez skutku: parlament angielski przyjętym w d. 13 Kwietnia 1829 r. bilem porównał całkowicie z protestantami katolików, przyznawszy ostatnim prawo być wybieranymi na deputowanych.

Stowarzyszenie Katolickie nie spoczęło po tem powodzeniu; owszem pracowało ono długo i gorliwie nad zagojeniem głębokich ran Irlandyi, nad uwolnieniem biednej katolickiej ludności od ucisku socyalnego, który wieki na nią zwały i długi tylko szereg reform czasami usunąć potrafi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Ślizgawka.—Dobroczytność.—Kuchnie ludowe.—Nocleg w łóżku.—Przytuliska dla ubogich.—Arcy-wzór skapca.—Odczyt Xiędza Siemieńskiego „O dziejach miłości bliźniego”.—Odczyt Koła literackiego i Towarzystwa Pedagogicznego.—Obrazki z najdawniejszych czasów Przemysła, przez Anatola Lewickiego.—Sejm czteroletni, Xiędza Waleryana Kalinki.—Biblioteka Mrówki.—Maurycy Gosławski.—Wzory haftów włociańskich na Pokuciu, przez Ludwika Wierzbickiego.—Walne zgromadzenie Towarzystwa gospodarskiego.—Teatr.—Nowa dyrekcyja, przygotowania p. Miłaszewskiego.—Operetka i sztuki ludowe; pierwsze przedstawienie.—† Szymon Krawczykiewicz.

Lwów, w Marcu 1881 r.

(Dalszy ciąg).

Umarł tu przed kilku tygodniami, dziwny w swoim rodzaju oryginał, Władysław hr. Skarbek, syn skapca, o jakim nawet sam Molière nie miał wyobrażenia, postać tem ciekawsza, że nie urojona ale rzeczywista, nie na scenie, ale po świecie chodząca, na którąś przez wiele lat własnymi patrzyli oczyma. Jak wszyscy skapcy, siedząc na pieniądzech, skazał on się na dobrowolne ubóstwo, ale tę abnegacyją, to sknerstwo, odmawiające sobie wszystkiego i szukające sposobów wyrafinowanego ograniczenia wszystkich potrzeb życia, prawie do zera, posunął—do tego stopnia, o jakim się nie marzyło ani Molièrowi, ani zapewne nikomu innemu przedtem ni potem. Z tego względu s. p. Władysław Skarbek pozostanie może nigdy niezrównanym arcymwzorem, którego warto zachować sylwetkę dla jej oryginalności. Otrzymałszy świetne powierzchowne wychowanie, przepędził Skarbek zamłodu lat kilka wpośród arystokratycznego świata wiedeńskiego, na salonach księcia Metternicha przed 1848 rokiem i w kołach dworskich. Majątek wszakże nie odpowiadał wymaganiom takiego życia i stanowiska, co zapewne niemało musiało martwić ambicjami arystokratycznymi przesiąkniętego młodzieńca i pierwszym było bodźcem do rozwinięcia się wrodzonego w nim pociągu do sknerstwa. A gdy wrócił do Lwowa, otrzymał bardzo stosunkowo szczupły spadek po ojcu, w kwocie 20,000 guldenów, usunął się zupełnie od świata, zajęty jedynie myślą powiększenia tego pierwotnego kapitału spadkowego, a powiększać go nie umiał inaczej, jak tylko niesłychanym skapstwem i procentowaniem, dobijając

procent do procentu. Stryj jego, Stanisław hrabia Skarbek, fundator dobroczynnego Zakładu Sierot i Starców w Drohowyżu, mianował go w akcie fundacyjnym kuratorem rzeczony fundacji, w razie śmierci księcia Karola Jabłonowskiego i Fryderyka hr. Skarbka, którym w pierwszej linii kuratorstwo Zakładu aktem fundacyjnym był powierzony. Chociaż pod temi warunkami nie można było prawie spodziewać się, aby s. p. Władysław Skarbek mógł kiedykolwiek dojść do objęcia steru fundacji Skarbkowskiej, obudziło to w nim chęć związania pamięci imienia swego z wiekopomną fundacją stryjowską, aby tym sposobem dostać się pod jej niejakie skrzydła do nieśmiertelności i zadosyć uczynić tradycjom Habdanków. Ta jedyna ambicyja, ambicyja próżności, oparta na tradycjach arystokratycznych rodowych, spółzawodniczyła odtąd przez całe życie u niego z wrodzonym skapstwem i potęgowała je coraz bardziej. Podobnie jak twórca fundacji Drohowyżkiej, stryj jego, od chwili podpisania aktu, którym cały swój majątek na rzecz fundacji zapisał, uważał się tylko za reprezentanta tejże i biorąc pieniądze zawsze powtarzał: „Dawajcie, bo to dla ubogich“, podobnie, powiadam, s. p. Władysław, zbijając grosz do grosza, osładzał sobie wszystkie przykrości wrodzonego sknerstwa, myślą uświetnienia swego imienia przyczynkiem do fundacji stryjowskiej. Skapstwo jego wzrastało z dniem każdym, dopóki wzrastać mogło, aż wreszcie doszło do kresu, poza który już przejść nie można, nawet przy tak obmyślanym systemacie, jakiego się trzymał nieboszczyk. Jako domniemany przyszły kurator, otrzymał on w gmachu teatralnym hr. Skarbka] bezpłatnie małą izdebkę, na trzecim piętrze, na mieszkanie. Sofka, na której sypiał, stary, na tandecie kupiony fotel i torba włóczkowa, służąca za schowek na rzeczy, a po części i za kassę Wertheimowską—wszystkie wypchane były kuponami i papierami wartościowemi. Na nich spoczywając w miłym poczuciu, rozmyślał o środkach i sposobach, jaknajwiększego ograniczenia swych potrzeb i jaknajtańszego życia. I doszedł do tego, iż nie jadł nic innego prócz suchych kartofli lub kaszy i... laskowych orzechów. Doszedł bowiem z doświadczenia, iż orzechy są pokarmem najtrudniejszym do strawienia, a zatem zasycają żołądek na dłużej niż każda inna potrawa. Gdy głód domagał się sutszego obiadu, s. p. Skarbek szedł wówczas do Kassy Oszczędności i składał tamże wedle apetytu, czterdzieści do sześćdziesięciu centów, reprezentujących wartość obiadu, i nasycony zadowoleniem z zaoszczędzonej kwoty, wracał do domu. Takich czterdziesto-centowych książeczek Kassy Oszczędności, znalazł u niego kilkaset po śmierci. Sypiał zawsze w stroju Adamowym, utrzymywał bowiem, iż nie tak bielizny nie psuje, jak sypianie w niej. To też gdy umarł, znalazł na sofce nagie zwłoki, przykryte starym kożuszkim, który przez lat kilkadziesiąt pełnił funkcję, nie tylko kołdry, ale zarazem i pieca w zimie. Sam też sobie był krawcem. Koszule zgrzebne szył własną ręką, dodając na piersiach wstawki perkalowe, jako koncesyją dla wymagań światowych.

Nie żył z nikim i nikt też nie lgnął do niego. Widywano go tylko zdaleka, przesuwanego się od czasu do czasu po ulicach Lwowa w wytartym surducie i staroświeckim, zmiętym kapeluszu. W życiu całym nie wyświadczył nikomu nic dobrego, a na plebejuszów z góry patrzył. Przed laty dziesięć złożył w Wydziale Krajowym 50,000 guldenów, od których zastrzegł sobie pobieranie odsetków do końca życia, na fundusz stypendyjny dla Zakładu Drohowyżkiego, mający służyć na uposażenie wychodzącej z zakładu czeladzi rzemieślniczej. Rozporządziwszy w sposób tak chwalebny pomienioną kwotą, resztę majątku postanowił zapisać bratu i zrobił już testament w tej myśli. Nieszczęściem wszakże przed laty kilku, podczas ochoczych bardzo zapust przyszło na myśl bratu wydać bal suty, na który ma się rozumieć zaprosił i s. p. Władysława. Bal był świetny, co się zowie—towarzystwo liczne—szampan się pilił—w bród było pasztetów i zamorskich łakoci. Ale, niestety! bal ten, o którym przez cały blisko tydzień mówiono we Lwowie, fatalne pociągnął następstwa.

S. p. Władysław powróciwszy z balu z bardzo niemiłym wrażeniem na widok tej niesłychanej w pojęciu jego rozrzutności, rzekł nazajutrz do swego adwokata:

—Mój brat przebalowałby w parę lat cały mój majątek...

I kazał spisać inny testament, w którym swoim ogólnym spadkobiercą zamianował Zakład Drohowyżki sierot, a pozostającą w chwili śmierci gotówkę zapisał służącemu, który od lat wielu pochował w Drohowyżu, dokąd zwłoki jego, złożone tymczasowo na cmentarzu Łyczakowskim, przewiezione być mają wraz ze zwłokami s. p. Stanisława Skarbka, twórcy fundacji Drohowyżkiej, które także dotychczas na cmentarzu Łyczakowskim spoczywają. Obadwa testamenty znaleziono pomiędzy rzeczami nieboszcza. Rzecz naturalna, że drugi, jako późniejszy, jest prawomocnym, a pierwszy tem samem unieważniony. Zapisem tym pozostawił s. p. Władysław Skarbek piękny pomnik po sobie, a skapstwo jego ostatecznie pożyteczny plon wydało. Cześć mu za to!

Na dochód Towarzystwa „Opatrzności“ miał w sali ratuszowej odczyt ksiądz Siemieński „O dziejach miłości bliźniego i rozwoju instytucji miłosiernych w Starożytności“. Prelegent sięgnął w najdawniejsze, przedhistoryczne czasy, w świat podań mitycznych, w których rozwija się już i przebłyskuje zaszczerpione przez Stwórcę w duszę ludzkości światło miłości bliźniego. Następnie, przechodząc w czasy historyczne, skreślił najstarszą w świecie cywilizacyją Chin dawnych. Ludy pokolenia aryjskiego były z natury usposobienia łagodnego, prawie sielankowego, a temsamem do miłosierdzia skłonne; ale i rasa mongolska niepozabawiona była tych szlachetniejszych pobożek wrodzonych, z których wyrasta i krzewi się miłość bliźniego. Dowiódł tego prelegent roztozrywany szeroki obraz cywilizacji starożytnych Chińczyków, ich obyczajów i pojęć etycznych, zawartych w dziełach filozofów będących kodexem moralnym i podstawą religii Chińczyków: Konfucjusza, Laotse i Mengse. Wykład teorii etycznej każdego z tych trzech moralistów starożytnego świata chińskiego był nadzwyczaj zajmujący. Ks. Siemieński rozwinął w ogóle w swej prelekcji wiele erudycyi, wielkie odczytanie w dziełach odnoszących się do tego przedmiotu w różnych językach. Zakres wszakże całej tej pracy, obmyślony na rozmiary szerokie, nie dał się ująć w ramy zwykłego odczytu. Byłoby potrzeba na to przynajmniej całego jednego kursu zimowego. Odczyt niniejszy objął dopiero tylko obyczajowe dzieje Chińczyków, i na tem się skończył. Jakoż oświadczył ks. Siemieński, że jest to tylko mały początkowy ustęp dzieła, które będzie drukiem ogłoszone. A że jak widać z tego ustępu, będzie to dzieło gruntownie opracowane, przeto prawdziwa wartość jego uwydatni się lepiej daleko w czytaniu niżeli w pobieżnym wykładzie, jak zazwyczaj w takich razach. Ks. Siemieński, nie trzymając się ściśle przygotowanego rękopisma, lecz opowiadając treść jego improwizowanym sposobem, przyjął metodę wykładu swobodną, na wzór tak zwanych *causeries* francuzkich, która rzecz główną ożywia mnóstwem zaciekawiających, acz niezawsze ściśle z nią powiązanych szczegółów, co zarazem i treść objaśniają i zajęcie słuchacza rozbudzają. Przy wykładach popularnych jest to metoda bardzo stosowna a może najwłaściwsza.

„Koło literackie“ na prośbę Kasyna Miejskiego urządza w niem w ciągu postu cztery odczyty, z których pierwszy miał w zeszły wtorek p. Klemens Kantecki. Będąc skryptorem Zakładu im. Ossolińskich, p. Kantecki czerpie z obfitych źródeł zwłaszcza rękopiśmiennych Zakładu materiały do ciekawych swych monografij historycznych. Tym razem dostarczyły przedmiot dzieje Infant i Kurlandi, które prelegent opowiedział treściwie a obrazowo, kresząc rzecz pięknym stylem, z pojęciem trafnym dziejowej charakterystyki wypadków i społeczeństwa, w którym się odgrywały. Obraz obyczajowy żywił ją składających ludność tamtejszą, ścierających się z sobą wzajem w ciągłym sporze i walkach, zestawienie i porównanie szlachty inflanckiej

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

zszlachtą polską, i wogóle stanowisko dziejowe i polityczne Inflant i Kurlandji aż do czasów Władysława IV: wszystko to w bardzo zajmujący sposób opowiedział p. Kantecki w tej rozprawie ze wszech miar na uwagę zasługującej. Następny odczyt w Kasynie Miejskiem będzie miał p. Horain, osiedlony od zeszłej jesieni stale we Lwowie, któremu podróż poza Oceanem i pobyt w Ameryce dostarcza treści do licznych najczęściej humorystycznych opowieści. Tym razem zamierza p. Horain odczytać rozprawę o podaniach Hawajów; ma to być także humoreska kreśląca obyczajowy obraz ludności wysp Sandwichej, jej wyobrażeń religijnych, zwyczajów i pojęć społecznych, często komicznych w porównaniu z naszymi; chociaż niemniej zapewne komicznie wydałoby im się nawzajem wiele naszych uswięconych zwyczajem kapryśności i formuł etykietałnych, gdyby im takowe dowcipny jaki Hawajczyk przypatrzywszy nam się zblizka, podobnie jak p. Horain chciał opowiedzieć.

Równocześnie z rozpoczęciem odczytów Koła Literackiego w Kasynie Miejskiem zakończyły się odczyty Towarzystwa Pedagogicznego w ratuszu wykładem p. Józefa Żulińskiego o *podmorskich rafach koralowych*. Zapowiedziany dawniej odczyt ten musiał być odłożonym z powodu śmierci matki prelegenta s. p. Barbary Żulińskiej powszechnie żalowanej tak z powodu wysokich cnót własnych, jak ogólnego poważania, jakiego doznają zamieszkali tu od lat dziesięciu obadwa synowie zmarłej, z których jeden zajmuje katedrę nauk przyrodniczych w seminarium pedagogicznem, a drugi będąc lekarzem, jest wzorem filantropijnego poświęcenia w swym zawodzie. Cios, jaki dotknął synów, szczerze odczuła publiczność lwowska i społeczeństwo okazała licznem, pomimo marcowej niepogody, zgromadzeniem się na porzebie.

Wróćmy do odczytów Towarzystwa Pedagogicznego. P. Baranowski, inspektor tutejszych szkół ludowych, obrał sobie za treść dwóch swych odczytów dwa różne przedmioty. W pierwszym skreślił obraz stosunków amerykańskich i porównał takowe ze stosunkami europejskimi; wykazał przyczyny i genezę przeobrażeń jakim uległa Ameryka od czasu jej odkrycia i zaludnienia przez Europejczyków; podał charakterystykę amerykańskiej przyrody, wraz z etnograficznym poglądem na jej mieszkańców pierwotnych i dzisiejszych, oraz na cywilizację, jaką przy odkryciu Ameryki Europejczy przybywszy tam zastali. W drugim odczycie mówił p. Baranowski „o zatraconych się w biegu czasu plemionach europejskich”. Pod naciskiem wypadków dziejowych zmienia się lat kolejną fizjonomią świata. Plemiona pozbawione żywotności, nieposiadające w sobie należytego stopnia siły moralnej, niezdolne do szerszego umysłowego rozwoju, zatracają się z wolna pod brzemieniem owych wypadków, owego prądu dziejowego, porywającego ludzkość torami jej przeznaczeń. Pod wpływem owych prądów dziejowych ludu, posiadające warunki bytu, przeobrażają się czasem doniepoznania. Któżby w dzisiejszym Włochu domyślił się dawnego Rzymianina; gdzie w społeczeństwie dzisiejszym francuzkiem szukać śladu starożytnych Gallów? Ale gorzej z plemionami, które nie były zdolne wznieść się umysłowo i moralnie o tyle, aby się oprzeć burzy dziejowej. O tych to mówił p. Baranowski mianowicie o Ostjakach, Lapończykach, Baskach i t. p., i podał treściwie charakterystykę każdego z tych, na najniższym szczeblu cywilizacyjnym znajdujących się plemion.

(Dokończenie nastąpi).

Gdy Warszawa zajmuje się kilku ważnymi projektami filantropijnymi, w których dobroczynna działalność kobiet rozwinąć się będzie mogła szeroko: jak zakład świeckich siostr miłosierdzia, opieka nad sługami, opieka nad dziećmi, i na prowincji rozwija się ruch w tym kierunku. W osadzie Kowal powstała między kobietami myśl urządzenia *domu wspólnej pracy* dla tych, które już za mąż wyjść nie zamierzają. Celem stowarzyszonych jest dobroczynne zajęcie się nędzą i chorobą, opieka nad sierotami tak w mieście jak i w okolicy, która niewątpliwie połączy się z tym ruchem szlachetnym i udział należy w nim weźmie. Życzyć sobie tego należy, aby myśl zacna jaknajprędzej weszła w życie i wydała owoc pomyslny.

P. Józefa Starzyńska z Zendarowa w Galicyi otrzymała od papieża order i błogosławieństwo za czyny dobroczynne i fundacją kościoła.

W Wilnie między deputatami do rozkładu podatku, jaki na korzyść gminy miejskiej mają opłacać sklepy pożywcze, znajdują się dwie kobiety: Adela Nowicka i Teofila Bernatowicz.

We Francyi, w miasteczku Torey (dep. Meurthe et Moselle) przy wyborach do rady gminnej pięć głosów zostało danych trzem kobietom, które jakkolwiek nie stawiły wcale swej kandydatury, odpowiedziały na spotykający ich zaszczyt bardzo rozumnie i szlachetnie napisanym listem, dziękując wyborcom za ich łaskawość. „Gdybyśmy były otrzymały potrzebną większość głosów i gdyby prawo pozwoliło na to, byłybyśmy urzędując nie podpisały nigdy żadnego aktu, nie czytając go poprzednio i nierozważywszy jego treści, czy się zgadza z dobrem gminy; byłybyśmy sprawdzały zawsze rachunki z użytku opłat miejskich, które gmina i nasi mężowie składają; byłybyśmy zbadały jak obróconym został fundusz, który rząd przed trzema jeszcze laty przeznaczył na wybudowanie domu szkolnego, który jest najwyższą potrzebą gminy, byłybyśmy... Tu następuje kilka jeszcze pozycyi miejscowego interesu, a które w podobny jak poprzednie sposób podniesione są widocznie, jako rozumne wskazówki uczciwego postępowania radców gminnych.

W Paryżu pod prezydencją Henryka Barboux odbyła się w dniu 31 Lutego narada prawników: czy w razie odmowy męża sąd może upoważnić żonę do wydania dzieła lub wystawienia sztuki dramatycznej? Wynikiem narady było, że może i powinien.

Francuzki wojujące słowem i drukiem za radykalnym przewrotem praw kobiety we Francyi, założyły dwa nowe organa: *La Citoyenne*, pod redakcją Huberliny Auclert i *La Tribune des Femmes* pod redakcją nieznaną jeszcze z rozgłosu panny Cheminat. Obydwa te pisma zaczęły od artykułu wstępnego: *Nos Droits*.

Rząd Rzeczypospolitej zamieścił świeżo w zarządzie poczt i telegrafów 20 kobiet. Znaczna ich liczba pracuje już oddawna w biurach pocztowych i telegraficznych.

W municypalnych i innych rządowych szkołach Francyi pobiera naukę rysunku i malowania 2200 dziewcząt. W konserwatorium paryzkim i innych zakładach tego rodzaju uczy się muzyki 1,950. Julia Hereau, wdowa po malarzu i sama posiadająca pewną sławę jako malarka, została inspektorką szkoły rysunkowej miasta Paryża.

Belgijski deputowany Primez, przemawiał w Izbie bardzo gorąco za zmianą ustaw, dotyczących praw kobiety. Primez należy do partji radykalnej.

Bill Gladstona przeciw Irlandji wywołał w Izbie

Gmin żywą dyskusję odnośnie do kobiet. Członek Izby Corbett żądał poprawki, któraby oznaczała wyraźnie, że wyjątkowa surowość prawa ma jedynie dotyczyć mężczyzn pełnoletnich, gdyż inaczej, kobiety i dzieci mogą uleść i niewątpliwie ulegną aresztowaniu i dalszym skutkom zawieszania *Habeas Corpus*. Forster, sekretarz dla spraw irlandzkich, odpowiedział, że rzecz podobna ni gdyby miejsca mieć nie mogła, sprzeciwiając się zasadniczo tradycyjnym uczuciom angielskiego narodu. Gdyby jednak przyjęto i ogłoszono żadaną poprawkę, kobiety stawały by w pierwszym szeregu każdej wyprawy, na którą mogłyby zostać wymierzone strzały milicyi i t. d. Sprzeczką się zaogniała. Członek izby, Commin, dowodził, że angielska jest wolną od kary za postępowanie nielegalne, często bardzo przestępną natury, jeżeli dowiedzie, że działała pod nakazem męża, któremu winna być wedle prawa posłuszną, że przecież w Irlandji zapewne nie uwzględnią tego nawet w razie, gdyby kobieta stawiła rozpaczny, choć bezsilny opór, widząc, że jej dom burzą, że jej męża zabierają i za najmniejszym z jej strony uniesieniem boleści, mogą je skazać bez sądu na 18 miesięcy więzienia, podobnie jak dzieci małe. Ale sam Gladstone przemówił namiętnie i zacięty przeciw poprawce, która została okrutnie odrzuconą większością 230 głosów przeciw 49.

Kobiety włoskie należące do partji mniej więcej radykalnych, dobijają się usilnie o prawo publicznego głosowania w wyborach do parlamentu i ruch ten doprowadził je do otrzymania w tym kierunku prawa, że każda z kobiet płacąca nie mniej jak 40 lirów podatku, a będąca wdową, lub prawnie z mężem rozdzieloną ma prawo głosu danego przecież tylko za pośrednictwem syna lub zięcia. Jest to prawo dziwnie niepełne i ograniczone w tem mianowicie, że nie każda wdowa, rozwódka, czy separata może mieć pełnoletniego syna lub zięcia. Przytem kobieta samotna, stara panna dla czegożby miała być pozbawioną prawa które przyznano rozwódce lub separacie? Sprawiedliwiej by było, gdyby właśnie ze względu na moralność odjęto go kobiecie tych dwóch kategorii a dano samotnej, gdy wiemy, że w każdym prawie kraju kobiety niemal-że najwyższego znaczenia, najwyższej działalności liczyły się między takie samotne. U nas przynajmniej do najdostojniejszych osobistości kobiecych należą takie właśnie, że wymienię tylko Żmichowską i Goslin. Niewątpliwie też prawo tak krzyczącej niesprawiedliwości otrzyma poprawkę, a to tylko można uważać za bardzo dobry jego zwrot, że w myśl wskazówek Milla, nie otrzymuje go mężatka ze względu na jej obowiązki rodzinne, które muszą być najwyższego znaczenia dla każdej uczciwej, która je raz przyjęła na siebie. Ta, która chce działać w kole szerszem, aniżeli rodzina, niech się cofnie przed jej obowiązkami, bo potem już nie wolno dla niczego, ani dla polityki, ale dla sztuki, ani nawet dla filantropii, obowiązków rodziny naruszać, gdyż chodzi tu więcej nawet niż o jedno serce mężkie zawiedzione; jest tu w ten sposób zaburzone domowe ognisko, są tu poświęcone te dzieci, które się powinny chować tam przy wspólnem steraniu ojca i matki, a przy całym wysiłku kobiety na korzyść rodziny. Nie można brać sobie samych położenie jakiegos korzyści i trzeba przyjmować i jego obowiązki, bo inaczej zapanowałby nieład w stosunkach najwyższego znaczenia dla społeczeństwa.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 9-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Sarkofag, (poezya), przekład Bronisława Grabowskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Dwa odczyty, przez J. Szczepaniaka. — Korrespondencja zagraniczna, (Wiedeń). — Irlandja, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Korrespondencja zagraniczna, Lwów, (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Tak jest, była w Frankfurcie nad Menem — odpowiedziała chora. Ręka jej opadła już teraz od oczu, które jednak były spuszczone na kołdrę. — W istocie nie jest ona stworzoną do takiej pracy, o nie, nie...

— I dla tego też — wniósł się jej mąż szybko i żywo podniesionym głosem — serdecznie dziękujemy panu za obietnicę wystarania się dla nas innej, odpowiedniejszej służki. Kiedyż więc zamierzasz pan rozpocząć prace przebudowywania?

— Pragnę zaraz porozumieć się z budowniczym z najbliższego miasta — odparł zapytany powstając, a na czole jego ukazała się ciemna chmura niechęci, a nawet gniewu. — Później nie zaniebdam przedłożyć państwu plan budowy.

— Niech Bóg wynagrodzi to panu, bo jesteś zacnym, szlachetnym człowiekiem! — rzekła starszka drżącym z głębokiego wzruszenia głosem, podczas gdy gość, skłoniwszy się przed nią z najwyższym szacunkiem, pożegnał następnie gospodarza.

Posesor uparł się odprowadzić go. W sieni zatrzymał młodzieńca z wielce tajemniczą miną.

— Wszystko co pan chcesz dla nas uczynić, jest w istocie bardzo pięknym i szlachetnym ze strony pana czynem — odezwał się przytłumionym głosem — i serdecznie dziękuję za to. Ale nie sądzę pan dobrodziej, że cokolwiek bądź ryzykujesz. O, zapewniam najuroczyściej, że wszystko co stanowić będzie nasz dług zostanie ci wypłacone co do grosza! Tak, tak, nie poniesiesz pan żadnej straty, za to ręczę! Otóż w pokoju nie mogłem mówić, jak rzecz da się załatwić, gdyż dotyka to smutnej sprawy rodzinnej. Nasz syn jednak jest nieobecny, i moja żona wyplakuje oczy z tęsknoty za nim, bo poczeiwa to, ale niezmiernie słaba kobieta! — Niech wróci choć by obdarty i w największej nędzy, abym go tylko zobaczyła! — powtarza i takie to są zawsze kobiety w podobnych jak tu razach; mąż i ojciec powinien za to zachować zimną krew, której nie stracę też, ręczę panu. Tak! nie oderwę syna z miejsca, gdzie fortuna uśmiecha się do niego i gdzie jest na drodze do ogromnego majątku — nie ściągnę go do nas za wcześniej dla kobiecych czułości. Chłopak przeczuwał szczęście, to rzecz widoczna, skoro mu było ciasno w pięknej turyngskiej ojezynie i przy takich jak my rodzicach. Już teraz mój zuch jest nababem; rok jeszcze, najwięcej dwa lata, a bez namysłu zapytam naszego księcia pana, ile żąda za klucz Gelsungen?...

— A do kroć sto tysięcy dyabłów, ty obrzydliwy żarłoku — zawołał, przerywając sobie nagle. Zerwał z tysej głowy czapkę i z gniewem rzucił ją do kuchni na kota, który właśnie wskoczył na stół, jak się zdaje w zamiarze pochwycenia jednego z gołąbków. Zwrócił się z pośpiechem do kuchni i kijem wypędziwszy kota na podwórze, zamknął drzwi. Kucharka dotąd nie

powróciła. Nad garnuszką z rosółem nie unosiła się już para, ogień wygasł od dawna.

— Cóż tu u mnie się nie dzieje! — mrucał gniewnie posesor. — Gdy by się trzymało i płaciło dziesięć sług, wszystkie porozlatają się, skoro nie ma komu ich dopilnować, a wtedy koty zjadają najsmaczniejsze kaski, których przecież nie dostaje się darmo. O włos, a bylibyśmy stracili obiad. Głupia dziewczyna! Gdzie się u licha podziała?

— Tak, tak, gdzie się ukryła przedemną? — myślał z gniewem Henryk, gdy pożegnawszy starego, szedł teraz przez podwórze ku ogrodowi, aby powrócić do domu tą samą drogą, którą tu przyszedł. Rzucił z ukosa pełne oburzenia spojrzzenia ku poddaszowemu oknu, z którego wieńczyk wysuwał znów firankę na zewnątrz. Zapewnie schroniła się do panny guwernantki i teraz dwie pary oczu śledzą go niezawodnie, przyczem tak pani, jak i służka śmieje się z niego. Postępowanie takie nie należy przecież do chwalebnych i Grieblowa miała słusność nazywać tę dziewczynę niedbałą. Biedna chora! jaki też obiad mieć będzie dziś, jakie obiady miewać musi zwykle?

W ogrodzie panowała również najzupełniejsza cisza i samotność. Jakiś ptaszek świergotał w krzakach, obok których przechodziła przed pół godziną mniemana pani w białej sukni, dla urwania trochę włoszczyzny. Dotąd jeszcze leżała na ziemi kilka pietruszek, zgubionych podczas szybkiego biegu i widocznie od owego czasu nikt nie przechodził przez ogród. Książka w altance mogła się znów dostać do rąk Henryka, bo ani daleko, ani blisko nie było żywej duszy, nikt więc nie mógł widzieć tego.

Więc też znów zabrał się do lustracji, a teraz spokojniej i bez pośpiechu, znalazł też coś więcej niż poprzednio. Książka rachunkowa miała oddział drugi, a ten już nie zajmował się gospodarstwem, a raczej zajmował się, ale gospodarstwem duszy. Nie wiersze, ale różne zdania i aforyzmy zapełniały karty, zapisane pięknym, drobnym piśmem, które kresliła ta sama ręka co list, który zuchwały posesor zwrócił do swego dziedzica. Zdania były mądre i szlachetne, mówiły o wytrwałości, o odwadze, o obowiązkach wdzięczności, przeciw Henryk znalazł to nieznośnie nudnem wypracowaniem guwernantki, i rzucił książkę precz od siebie z gniewem skrytem.

— Ten folwark stoi mi już kością w gardle! mruknął.

— Gdyby nie ta chora biedaczka, zrobił bym tu wcale inny ład odrazu. Stary blagier ze swoim sztabem przybocznym: z guwernantką, która się kryje, ze służką, która udaje panią i roman-sowym leśnikiem, poszli by wszyscy ztąd precz, precz...

Że jednak tak zrobić nie chciał, postanowił sobie usunąć się od wszystkiego i powierzyć Grieblovi całe dzieło, wynikające z litosciwego zapisu nieboszczki i zły, rozdrażniony wyszedł z ogrodu, któregoż stare, drewniane drzewczki skrzypnęły za nim, jak gdyby skargą żalowaną. Zdawało mu się, że z tym dźwiękiem smutnym, chrapliwie nieharmonijnym, skończyły się raz na zawsze wszelkie jego stosunki do ludzi, których teraz opuszczał. Nawet sam przed sobą nie chciał się przyznać, że dobrowolnie i z własnej woli wniósł się w cudze interesa, na które teraz narzekał, że on sam tylko był winien, jeżeli nieci obcych losów owinęły się w koło jego osoby, jak te natrętne i bujne a posplatanie dziwacznie rośliny, które na zarosniętej, nieuczęszczanej drodze, niby żyjące sieci oplątywały mu nogi i z pośród których nie mógł się inaczej wydostać, jak tratując je nie-miłosierdzie...

Dwa dni upłynęło od owych odwiedzin. Wezwany przez Griebła budowniczy przybył i pochwaliwszy plany dziedzica, zobowiązał się wykonać je z jaknajwiększym pośpiechem. Henryk towarzyszył mu przy obejrzeniu folwarcznych bu-

dyneków, nie przestąpił jednak progu domu, chcąc koniecznie wytrwać w powziętem postanowieniu. Pomimo tego stary posesor ukazał się w ganku, aby mu podziękować za łaskawą przesyłkę kosza wina, nad którego wyborym gatunkiem unosił się niezmiernie. Obok tego przyrzekł uroczyście odwzajemnić się za uprzejme odwiedziny dziedzica i w istocie w parę godzin później, już o zapadającym zmroku stary jegomość przybył do dworu.

Henryk siedział zamysłony w ogrodowej altanie, gdy nagle na drodze od strony folwarku ukazały się dwie postacie: jedna męzka, podpierająca się na lasce i z trudnością stawiająca zeszywniałe nogi, druga kobieca, na której ramieniu starzec opierał się, idąc...

Wszakże wielomówna pani Griebel powiedziała, że panna guwernantka ma kibić bardzo podobną do swej służącej? A więc to była niezawodnie ona, wyniosła, wysmukła, w pięknie leżącej, miękką draperyą z lekkiej czarnej tkaniny spadającej sukni! Popielata woalka powiewała na białym bastowym kapelusiku, co razem tworzyło harmonijnie ładną, choć prostą tualetę.

Ale skoro tylko Henryk wyszedł z altany, p. Agnieszka Franz szepnęła słów parę do ucha stryja, i wysunawszy mu się z pod ręki zawróciła w bok, między zarosłe, wśród których zniknęła wkrótce... Stary jegomość widocznie był niezadowolony, podniósł w górę ramiona, jakgdyby chciał powiedzieć: — Co za nedoręczność, zostawić mnie tu samego!... i bardzo mile się uśmiechnął gdy p. dziedzie, spiesząc na jego spotkanie, wsparł go silnem ramieniem młodzieńcem.

Było pewną pracą wprowadzić go do altany po schodkach, ale za to, gdy już teraz weszli, gdy stary jegomość wygodnie się usadowił na miękkich poduszkach kanapy i z zadowoleniem obejrzał się w około, wychwalając gustowne urządzenie ślicznego gniazda, Henryk był prawie rad gościami. W chwili też potem stało na stole pudełko wybornych hawańskich cygar i dwa kryształowe, zielonkawe połyskujące kielichy, z których rozchodziła się rokoszna woń szlachetnego reńskiego wina. Henryk zapalił ładną wiszącą lampę, którą już on sam tu sprowadził, a gdy jasny jej płomień oświetlił cały pokój, wówczas gospodarz zrozumiął, dla czego gość wybrał się z odwiedzinami podczas zapadającego zmroku. Na chudych ramionach starego wisiał mocno wytarty już, choć starannie wyczyszczony, tużurek. Za to bielizna była nieposzlakowana białą i pięknie wyprasowaną, a na piersiach połyskiwała starodawna, ale piękna spinka, w której błyszczący brylant wydał się jednak Henrykowi fałszywym. Niewątpliwie w chwili potrzeby i niedostatku wyjęto ztąd drogocenny klejnot i zastąpiono go szkiełkiem.

P. dziedzie nie mógł zaprzeczyć, że jednak spędził bardzo miłą godzinę ze swoim posesorem. Stary jegomość umiał bardzo zajmująco mówić o świecie i życiu, podróżował wiele po obcych krajach i w ogóle wykazał się rzeczywiście wykształconym człowiekiem. Przytem w naturze tego marnotrawnika znajdował się jeden, trudny do zrozumienia, a przecież często zdarzający się rys. Sam utracysz, nieporadny i do najwyższego stopnia lekkomyślny, umiał dawać innym wyborne, doskonale umotywowane, zbawienne rady, których tylko do siebie nigdy nie stosował.

Henryk odprowadził gościa do domu; było to koniecznością prawie, gdyż biedny, miał pewno nogi nabrękle od pedogry i ztąd sztywne jak kije, Henryk dziwił się też że, nie przyszedł nikt po niego. Wprawdzie bystry słuch młodzieńca pochwycił jakiś podejrzaną szelest, który kilkakrotnie dał się słyszeć w zarosłach obok drogi, że przecież czy pani, czy służka, była to zawsze osoba, która go w obraźliwy sposób unikała, udał że nic się nie domyśla. Uśmiechał się tylko umyślnie podniesionym głosem zwrócił uwagę starego,

że widać jakiś zwierz zabłąkał się w zarosłe, gdyż ciągle słyszy jak przemyka się o kilkanaście kroków od drogi. Tak szedł dalej, prawą ręką wspierając swego gościa, ociężałego jeszcze więcej po kilku kieliszkach rzadko pijanego teraz wina, a w prawej niosąc kilka książek, których pożyczył posesorowi swemu do przeczytania. Tenszczerzy teraz, przyznał mu się że już od dawna nie miał w ręku nowej książki. Westchnął przytem nieborak, ale prędko pomiarkował, że się zdradza i zaraz dodał, że to żona jest przyczyną tego, nie pozwalając mu na sprowadzanie nowości literackich ze względu na jego wzrok osłabiony.

Henryk zaraz nazajutrz porozumiał się ostatecznie z Griblem, co do miłosiernego uczynku względem starego. Ale nie tak łatwo poszło z jego panią małżonką. Wprawdzie znała kobieta chciała zadowolić pana dziedzica, ale Bóg tylko wie, ileby ją to kosztowało. Wstrząsała głową, wznosiła oczy do nieba, i wypowiedziała mnóstwo bardzo rozumnych sentencji, dowodzących, że na świecie bierze zawsze nie zasłużony, ale szczęśliwy.

—Ach! wdychała—oni we dworze, w pokojach pierwszego piętra... cała gromada próżniaków i darmozjadów... Sama posesorowa, to co innego. Była to biedaczka chora i tę chwalili wszyscy; nawet guwernantki się nie bała, mogła sobie zadziierać nosa i siedzieć wiecznie w pokoju jak święty w niszy, ale stary egoista, utracysz i szalberz, oraz służąca! Ten kram był jeszcze gorszym od pana, stokroć gorszym. Dziewka która się obawia opalić i dostać piegów... Czyż to było słychaną rzeczą? I ona miała to tolerować, znosić widok tego? Nie, dziedzic, choć dziedzic, nie mógł jej skazywać na to, bo wpuścić taką dziewczynę do domu znaczyło to samo, co wpuścić tam zarazę i niemoralność. Inaczej nie można było nazywać podobnego postępowania i ona też nie mogła w żaden sposób przystać na to. — Pobuntowała by mi wszystkie służki — wołała p. komisarzowa z rozpaczą — wpłynąć mogła źle nawet na Ludwisę samą. Ach! okropność... okropność...

Henryk przez wzgląd na nerwy p. komisarzowej, postanowił odłożyć rzecz do dnia następnego, lecz zbieg okoliczności nie dał mu się zaraz tem zająć. Nazajutrz rano otrzymał obszerne sprawozdanie od swego buchaltera z fabryki, na które należało natychmiast odpisać i wydać rozporządzenia, dotyczące kilku ważnych i bardzo pilnych spraw. Dla tego też już od kilku godzin siedział kamieniem przy biurku i tak żywo zajął się pracą, że zupełnie zapomniał o całym świecie. Z rodziny dzierzawcy nikt dziś jeszcze nie wszedł do jego pokoju. Zjadł obiad samotnie, a gdy usługująca mu dziewczyna sprzątnęła i oddaliła się, szybkie przesuwanie się pióra po papierze było jedynym szelestem, przerywającym głęboką ciszę narożnego pokoju. Ale teraz otworzyły się drzwi i weszła pani Griebel, przynosząc kawę, jak to codziennie własnoręcznie czyniła.

—Ach, jakże tu chłodno i miło w naszym dworze! — odezwała się, przywitawszy Henryka. Na dworze taki nieznośny upał, że zaledwie można oddychać.—Tłusta kobiecina otarła końcem fartucha spoczną twarz i szyję.—Byłam dziś rano z Ludwisą w lesie, z kądem przyniosłyśmy pełny kosz poziomek, rzekła. Wybrałyśmy się o wschodzie słońca, o czwartej godzinie rano, trzeba bowiem iść spory kawał drogi, gdyż u nas wcale nie ma poziomek. Za to na Grafenholz rośnie ich takie mnóstwo, że tylko schylać się i zbierać. O gdyby też nie to, za żadne skarby świata nie poszła bym do Grafenholz! Nie mogę znieść tamtejszego leśnika, który można powiedzieć należy do tamtych na folwarku, i tak też zadziiera nos jak oni, ale po poziomek dla pana poszłam i śliczne widziałam rzeczy. Było pół do piątej przecież spotkałam już tam tę dziewczę—służącą z folwarku... Ta wstała raniej od nas, powracała już do domu i bez poziomek... Teraz to już panu powiem stanowczo i bez żadnych ogródek, że nie mogę przyjąć jej pod mój

dach... Takie dziewczęta obieżyświaty nie popasają u mnie. Aha!... aż pan sam zarumieniłeś się i jest czego. Mało nie zemdlałam, że to widziałam moja Ludwisia, ale ona jest jak anioł z nieba, o niczem złem nie wie, nie złego nie przypuszcza, ale też ja takiej dziewczyny jak tamta nawet na próg mój nie puszcze, choćbyś pan miał wypędzić nas za to. O! ta miejska hołota, kara boska, kiedy się to na wieś dostanie, aby psuć ludzi.

Nalala tymczasem kawę i postawiła filiżankę na stole obok papierów. Henryk milczał, a ona znów zaczęła: — Teraz, gdy już panu powiedziałam, jak jest, spodziewam się, że przyznasz mi słuszność. Jeżeli tamci, z folwarku koniecznie potrzebują osobnej służącej, to sama wyszukam dla nich porządną dziewczynę, ale tej w obsłonach nie dam nawet kuferek za niemi przynieść. Teraz i pan to rozumiesz jak widzę... Ale czemu pan kawy nie pijesz? Proszę, pij pan zaraz; kawa zimna nie nie warta, to tak samo jakby wykpiła... Ale, dla Boga! zapomniałam że mi tam co innego wykpić może, pewno już wykpiła...

Wybiegła co tehu, a skoro tylko drzwi zamknęły się za nią, Henryk zerwał się z miejsca, jak gdyby gwałtownie potargał krępujące go więzy. Wiedział on doskonale, że proste kobiety lubią bawić się w ploteczki, i czem gosposia lepsza, tem gust ten bywa wyższy, bo natura jest czynniejsza i język, tak jak ręce, spoczywać nie chce, więc nieraz najlepsza z innej strony kobieta będzie z przyjemnością szarpała dobre imię bliźniego. Mimo to uczył się w tej chwili tak oburzonym, że zaledwie zdołał się powstrzymać od wyrzucenia Greiblowej za drzwi. Nie dawało się zaprzeczyć, że bezlitośnie potępiona dziewczyna była dziwnie dumną, szczególnie w obejściu i odróżniała się od tutejszych wiochen ubiorem, układem i wykształceniem, ztąd też była nielubioną, wyśmiewaną, lecz cios obmowy, który ją teraz uderzył, dotknął go tak, jak gdyby była to najbliższa mu osoba, siostra jego rodzona. Ona miała by być odrażoną i można powiedzieć spoliczkowaną publicznie... Przypomniał sobie jej oczy piękne i ich spojrzenie jasne, jej czoło białe, i prawda że dumne, ale też czyste... Tak! byłby przysięgł na to. Może gajowy z Grafenholz był już jej narzeczonym, może miała iść za niego, ale to było co innego... o! tak: co innego!

Niegdyś jego i to gniewało, unosił się namiętnie na samą myśl o tem, lecz w tej chwili zastanowił się nad rzeczą i... oblał się gwałtownym rumieńcem. To, co ludzie mogli nazwać miłosiernym uczynkiem względem starego posesora z folwarku, czy było tem rzeczywiście? Wprawdzie z samego początku chciał sumiennie spełnić wolę nieznaną mu testatorki, uczynić wszystko, co się tylko da dla jej przyjaciółki, lecz ta nagła gorliwość w wykonaniu, lecz pośpiech, z którym chciał co prędzej przenieść starych pod swój dach, co to było? Czy dobroć serca? Czy nie... zazdrość względem tego leśnika literata?

Nagle światło ukazywało Henrykowi skryte sprężyny jego własnych czynów: pragnął pozbawić tamtego człowieka wszelkiej zasługi, chciał rozerwać tę parę wyjątkowych ludzi, lecz przez szaleństwo swoje osiągnął właśnie wprost przeciwny skutek. Pełne poświęcenia usługi dziewczyny dla rodziny posesora stały się już teraz niemożliwymi, a tem samem była wolną i mogła iść za leśnika...

Młodzieniec czuł, że mu głowa pała i krew gotuje się w żyłach. Zdało mu się, że dumny pan nadleśniczy z szyderczym uśmiechem spogląda ze złoconych ram na syna ślusarza, w którym instynkta niskiego pochodzenia objawiają się przepotęźnie, pociągając równego do równej. Wszakże ta, dla której czuł nieprzezwyjęzoną sympatyę miała na sobie ubogą odzież wyrobniey, była prostą służącą, pracującą ciężko od rana do nocy i utrzymywała się z grosza tak zarobionego. Nie nawidził guwernantek, uważając je za zbyt wyrafinowane istoty, ta też była już niewątpliwie prostą i tylko śmiesznie nasładowała zewnętrzne strony wykształconych, przez umysł wyższy uszlachetnionych kobiet.

Na dworze był wprawdzie nieznośny upał, ale rozciągały się szeroko rozległe pola, łąki, lasy, nie brakowało więc przestrzeni i powietrza do oddychania, a on dusił się tu pomiędzy ciasnymi czterema ścianami.

Z gorączkowym pośpiechem pochwyił kapelus. Nieuważnie rzucone pióro splamiło ogromnym kleksem list niedokończony, a przy szybkim zerwaniu się z krzesła spadło na ziemi kilka bardzo ważnych papierów. Ale Henryk nie uważał na ten nieporządek. Niech tam w fabryce czekają na owe pilne rozporządzenia — naczelnik wielkiej firmy Markus, zwykle tak pilny i sumienny wybiegł teraz z domu, pozostawiając za sobą niedbale niespełnione obowiązki.

Bez namysłu skierował się drogą, ciągnącą się po nad lasem. Wczorajsze postanowienie niezajrzenia już więcej na folwark rozwiłało się tak, jak te kłęby kurzu, które gorący popołudniowy wietrzyk spędzal z drogi i rozpraszał na wszystkie strony. Obszedłszy zabudowania lewego skrzydła, nie wachał się Henryk zatrzymać przed zamkniętą bramą i zaglądać wewnątrz podwórza przez te same szpary w deskach, pod którymi niedawno stał nędzny żebrak, proszący jałmużny nawet u takiego jak tu ubóstwa.

Na dość obszernem podwórzu było cicho i pusto do okola. Kury przed żarem słońca schroniły się zapewne do zacienionych stajen, a stary kundel na łańcuchu, który zwęszywszy obcego, podniósł ospale łeb, jak gdyby do zaszczekania, porzucił ten zamiar, nie chcąc się męczyć zanadto. Śpiekota ciążyła wszystkiemu i tylko w chłodnym pokoju staruszków nie lękano się zapewne gorąca, gdyż oba okna były szeroko otwarte. Przy jednym siedział posesor, czytając książkę, a przez drugie Henryk widział chorą, leżącą spokojnie na poduszkach ze złożonymi rękoma. Małżonkowie znajdowali się sami. W oknach po prawej stronie zamkniętych drzwi siennych nie ukazywał się nikt, a na poddasze młodzieniec prawie nie patrzył. Wcale nie dbał o to, czy guwernantka siedziała za doniczkami róż, lub nie—miał tylko jedną myśl, jedną tylko, jedną! I ona to skłoniła go teraz do obejścia znów zabudowań, bo z drugiej: z prawej strony, mógł popatrzeć w kuchenne okno. Ale i tu było cicho i samotnie, równie jak w ogrodzie, do którego wstąpił z kolei, ale nigdzie żywej duszy nie było...

Tupał nogą i zagryzł z gniewem wargi. Czyż więc miał iść do Grafenholz, aby się przekonać, że był niedorzecznym szaleńcem, którego nagła sielankowość wystrychnęła na głupca? Och, gdyby tak widziano go teraz w domu, krążącego, jak złodziej koło odrapanego folwarku? Śmiejąc się ze siebie, ale i złoścąc razem wyobrażał sobie okrzyki tryumfu znajomych, z których czulości sztydził nieraz nielitościwie; oburzenie macochy, córki tajnego radcy, złośliwe uśmiechy młodych panien, w obec których grał zwykle z dumą napuszoną rolę niezwyjęzonego. Przypominał sobie to wszystko, ale pomimo to biegł coraz prędzej przez las, przedzierał się przez najgęstsze zarosła, dążąc do swej kryjówki za bukiem, z kądem tak dobrze mógł obserwować dom gajowego, myśląc po drodze, że dla osoby mieszkającej w starym, zrujnowanym folwarku, musiało to być wielką przyjemnością spędzić jakąś chwilę w nowym, miłym domku leśniczówki z białymi ścianami i wesołym czerwonym dachem. Jak śliczne; różnobarwne cacko odbijał się ten domek na zielonem tle murawy, nie poźółklej od żarów słońca, osłoniiony bukami, przypierał malowniczo do wysokości ściany lasu, z którego wybiegający strumyk, szemrząc wesołą piosenkę, zdązał ku sąsiedniej dolinie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Pomiędzy wodzami powstańców są prawdziwi bohaterowie: Edmund Kyan, bracia Roche, John Murphy, którego nazywają ojcem Janem. Jest to ksiądz, starzec i według nich święty. Za całą broń nosi jedynie krzyż, z którym prowadzi do bitwy tłumy zfanatyzowane jego słowami. Utrzymują, że niepodobna go ani zabić, ani ranić, że kule odbijają się od jego sutanny, w skutek czego, każdy chce biec za ojcem Janem. Lecz jest pomiędzy niemi inny, jeszcze więcej wpływowy. Jest nim owa niewidzialna, tajemnicza istota... wódz duch, noszący obecnie nazwisko Edwarda Fitz-Geralda!

— Domyslałem się, jak jesteś zadziwiony, vicehrabio. I ja dziwiłem się również. Z początku po sądziłem naszego przyjaciela, albo raczej tych, którzy się obowiązali strzedz go i przypuszczałem, że nie zdołali dotrzymać zobowiązania. Lecz przypomniała mi się nasza wyprawa do Królewskiego Dębu, i niesłychane podobieństwo... które mnie wprawiło wtedy w osłupienie. Dziś też jestem już pewny, że to tamten... Dziki Ir walczy pod nazwiskiem sir Edwarda. Dla mnie jest to nadużycie i prawie świętokradztwo, ale w Irlandyi inaczej to pojmują. Zemsta za śmierć Fitz-Geralda, w którą wierzą, uzbroiła ramię Dzikiego Ira, uważa zatem, że to Fitz-Gerald — wódz duch wie dzie w jego osobie tłum na bój morderczy, ach! ten lud jest nieszczęśliwy — nieszczęśliwy okrutnie...

— Ferns. 9. Armia angielska wzmocniona przez ochotników irlandzkich, to jest przez oranżystów, odniosła właśnie stanowcze zwycięstwo nad powstańcami.

Wszystkie działa odebrane, i nastąpiło zupełne rozproszenie gromad powstańczych. Wyruszamy na Wexford, który od trzech tygodni znajduje się w ich rękach. Mieli tam popełnić okrucieństwa, podobne do osławionych waszych rzezi wrześniowych. Wszyscy protestanci, wszyscy, których podejrzowano, że nie dzielą ich przekonań...

— Przerwano mi w chwili, gdy miałem kończyć ostatnie zdanie. Powrócił patrol z więzniem. Zadziwiłem się, poznawszy w nim O'Connela.

„Na szczęście schwytano go bez broni, w zupełnie w takim samym położeniu, jak wówczas, gdy wyjechał z Dublina, słowem jako spokojnego człowieka w podróży do rodzicielskiego domu. Skorzystałem z tej okoliczności, i chcąc go ocalić, odezwałem się do niego: — A więc nie należałeś pan wcale do powstańców? — Lecz on pogardzając kłamstwem, nawet dla okupienia życia odpowiedział: — I owszem, teraz dopiero porzuciłem ich, nie chcąc dłużej przyjmować na siebie odpowiedzialności za krwawe czyny. — A gdy nalegałem na niego, aby wyjaśnił owe słowa, odparł smutnie, że przybywa z Woxford. Przecież, skoro zawołałem, że to, co tam popełniono, będzie plamą na wieki patryotyzm irlandzki, on podniósł żywo głowę. — To, co tam popełniono, spadnie grzechem i winą nieodpuszczoną na dzieje Anglii — rzekł: pierwsza przyczyna odpowiada zawsze za następstwa, otóż to zbrodnia jest i hańba Anglii, że w jednym i tym samym kraju mieszkają dwa nienawistne narody, siew to, który wszedł na grobach tysięcy wymordowanych przez Anglię.

Ukłuł mnie bardzo ciężko w samo serce, prze-

cież puściłem go na wolność i czuję się szczęśliwym z tego, choćby nawet talenta jego miały kiedyś przynieść szkodę Anglii.“

Vinegar-Hill. 17. Jutro, na górze noszącej powyższą nazwę, uderzymy na tych, którzy nie chcieli złożyć broni i poddać się na łaskę rządu. Otoczyliśmy dokoła te tłumy zrozpaczone. Będą się bronić z wściekłą zaciętością. Jeżeli są tam tygrysy są także i lwy... a niestety znajdują się również kobiety i dzieci. Żołnierze nasi są rozdrażnieni do najwyższego stopnia, obawiam się więc straszliwych nadużyć. Och, jakże ciężka jest ta wojna... Słowa O'Connela wracają mi wciąż na pamięć i dręczy mnie, ale przede wszystkim jestem żołnierzem.

XXXIV.

W którym występują trzy tajemnice.

Przez szlachetną delikatność, Tankred uważał za swój obowiązek pokazywać powyższe listy Łucyi. Czyż nie świadczyły one korzystnie o charakterze tego, którego nazwisko nosiła?

I Kornelia chciała je czytać z kolei. Ostatni, który zdawał się przepowiadać rzeź pod Vinegar-Hill, do najwyższego stopnia przeraził ją. Nagła bladeść i drżenie ust zdradziły jej obawy. Jakób niewątpliwie tam się znajdował — był to jeden z lwów.

Znała również ojca Jana i podzielała pobożną cześć, jaką wzbudzał we wszystkich prawych Irlandczykach.

— Ach! — szepnęła z boleścią — nawet Anglik zmuszony jest przyznać, że to święty... święty który wkrótce ma zostać męczennikiem!

Księżnie, naturalnie, nie mówiono nic o tem wszystkim. To samo i lordowi Fitz-Gerald.

A jednak wydawał się dziwnie smutnym i niespokojnym. Pewne natury wybrane są obdarzone szczególnym instynktem. W duszy jego odbiły się — że się tak wyrazimy — nowe cioty, które uderzyły w nieszczęsną Irlandyę.

Pewnego wieczoru, gdy wszyscy mieszkańcy dworu zgromadzili się na tarasie, nagle ozwały się dzwony katedry.

— Co to jest? zawołał Fitz-Gerald niespokojnie: — Te Deum...

— Zapewne jakie zwycięstwo na lądzie — rzekł Gaillefontaine.

W tem krzykliwy głos sprzedającego dzienniki, a przechodzącego przez ulicę, doszedł do grabowej alei.

Vicehrabia zaraz z pierwszych słów domyslał się, że idzie o ogłoszenie ostatnich klęsk, zadanych powstańcom, usiłował odwrócić uwagę Edwarda, lecz ten przerwał mu poważnie — Chcę słyszeć, chcę wiedzieć, co się dzieje...

Gaillefontaine musiał zamilknąć, nie mogąc opierać się dłużej, a roznosiciel doszedł właśnie do głównej treści ogłoszenia, to jest do zdobycia obozu pod Vinegar-Hill i stanowczego zgniecenia powstańców.

Fitz-Gerald zerwał się z miejsca z okrzykiem bolesnego wyrzutu:

— Ach!... Utailiście przedemną, że Irlandya powstała! Moi rodacy walczyli, a ja nie przyjąłem udziału w walce! —

Pamela, Łucya, księżna usiłowały uspokoić go, Gaillefontaine zaś odezwał się poważnie.

— Edwardzie, sądzę, że możesz zaufać memu zdaniu tam, gdzie idzie o kwestyę honoru. Otóż z dwóch ważnych powodów nie mogłeś należeć do powstania.

— Z jakich?

— Pierwszym jest ten, że już nie żyjesz — a nie powinienes zapominać o tem! Drugi jeszcze silniejszy, że nie zdołałbyś utrzymać szpady w ręku. —

Fitz-Gerald spojrzawszy ze smutkiem na obwiązane dotąd ramię, odpowiedział:

— Samo nazwisko moje byłoby sztandarem!

— I było nim pomimo twej nieobecności! — rzekł vicehrabia. — Jeden z wodzów ostatniego powstania, a przytem najślawniejszy ze wszystkich, przybrał nazwisko Edwarda Fitz-Gerald.

— Co, co?... Nierozumiem.

Wyjaśnwszy znane nam zdarzenia, Tankred dodał:

— Przypominasz sobie, Edwardzie, uderzające podobieństwo Jakóba do ciebie. Skorzystał on z niego, aby tem silniejszy wyrzucił wpływ na uczucia wierzących w cudowność tłumów. Potrzeba jest Irlandyi ducha wodza, — ducha, którego nie można zamknąć w grób, i w tej chwili ty nim nie jesteś dla narodu twojego, a Jakub jak wszyscy inni, sądzi, że już nie żyjesz, i dla tego dał ci to drugie zagrobowe istnienie, które cię unieśmiertelni w dziejach. Legenda przetrwa wieki i służąc Irlandyi da ci zarazem nieśmiertelność wyższą, niż wszelkie pomniki.

Kilka dni później słowa vicehrabiego znalazły potwierdzenie.

Przez cały wieczór padał deszcz. Z tego powodu siedziano w owym gabinecie, do którego przeszłej jesieni Dzikie Ir po raz pierwszy wprowadził Tankreda tajemnym wejściem przez dawne koszary zamkowe.

Była to noc ciemna i wietrzna. Żaluzye w oknach sztukały nieustannie, drzewa jęczały smutnie. Księżna, cierpiąca nieco, udała się do sypialni, skazówki zegaru zbliżyły się do północy, gdy Kornelia nagle zadrżała.

— Cicho! Słuchajcie! — zawołała, zwracając się z pośpiechem w kierunku skrytych drzwiczek.

Pod podłogą w podziemnym przejściu dał się słyszeć wyraźny szelest. Następnie poruszyła się ukryta sprężyna, i tajemne drzwiczki otworzyły się.

Gaillefontaine i Łucya z obawy podstępnej najsia z pośpiechem uprowadzili Edwarda na znane nam schodki, prowadzące do jego kryjówki.

Pozostały tylko Pamela i Kornelia, i wkrótce głośny okrzyk wydarł im się z ust. W otworze posadzki ukazał się człowiek, którego natychmiast poznały: był to Jakób.

Kornelia tym razem nie zdołała opanować pierwszego uniesienia radości, rzuciła się ku wchodzącemu, który niemniej wzruszony, pochwyił ją w objęcia i z tkliwością przycisnął do swej piersi.

W ostatnich walkach musiał ucierpieć bardzo wiele. Na bladej i wychudzonej twarzy czytać się dawało głęboki upadek na duchu, znużenie i ślady wielu bolesnych zawodów.

— Milady — odezwał się najpierw do tej, którą uważał za wdowę po Fitz-Geraldzie — przychodzę tu, aby się rozmówić z tobą. Bądź więc łaskawa wysłuchać mnie.

Kornelia przysunęła mu fotel. Dzikie Ir, śmiertelnie zmęczony, mimowoli osunął się na niego i zanim zdołano go uprzedzić, że mniemany umarły stał tuż, o parę kroków, słuchając go również, mówił dalej z żywością:

— Były dwie rzeczy, dla których pragnąłem oddać życie: ojczyznę i Edwarda. Bóg mi zabrał, odtąd cały należę do ciebie, pani...

Pamela chciała mu przerwać, lecz on zatrzymał ją łagodnym skinieniem ręki.

— Pozwól mi skończyć — rzekł z pośpiechem — Moje chwile są policzone, czekają na mnie. Ściągają nas jak dzikie zwierzęta, lecz spodziewam się, że zdołam uniknąć pogoni i schronić się na ląd stały. Ty, milady, może zechcesz powrócić do Francyi? Tam, jak wszędzie, rozporządzaj mną. Należę duszą i ciałem do ciebie i do twych dzieci. A żebyś pani nie wahała się przyjąć mnie za opiekuna, za najwierniejszego, najwięcej poświęconego przyjaciela, wyjawię ci tajemnicę, której nie znał nikt, nawet twój mąż.

Wszyscy, którzy go słuchali, tak widzialni, jak ukryci, podwoili teraz swą uwagę, a on odezwał się znów po chwilowym przestanku:

— Jak wiesz, milady, ojciec twego męża przyjął mnie do domu małym dziecieniem jeszcze. Kochał mnie. Wychowany zostałem z obu jego synami, którzy przecież zachowali się względem mnie niejednakowo... Ież razy starszy, dumny i pogardliwy, dał mi dotkliwie uciec, że byłem biednym sierotą bez imienia i majątku... Edward, przeciwnie okazywał mi zawsze serdeczną, pełną szlachetności przyjaźń. Ztąd pochodzi moja wdzięczność i gorące przywiązanie dla niego. Wiesz, milady, jak bardzo go kochałem! Śmierć jego rozdarła mi serce... a i teraz jeszcze, patrz o to pani, sam widok tych miejsc, sama myśl, że go już nigdy nie ujrzę...

Musiał przestać, płakał jak małe dziecko.

Obie kobiety chciały teraz przemówić, lecz Fitz-Gerald, który już stał po za Jakóblem, przyłożył palec do ust, nakazując im wzrokiem milczenie.

— Widzisz więc teraz, milady — zakończył tłumiąc ostatnie łkanie, że jeżeli pragnę poświęcić się dla pozostałych dzieci, spełniam jedynie święty obowiązek. Jeżeli w walce za ojczyznę przybrałem nazwisko Fitz-Geralda, miałem do tego również prawo, tak, pani, niewątpliwie prawol! Stary hrabia Kildare wyznał mi przed śmiercią tajemnicę mego urodzenia. Byłem bratem jego synów, byłem jego synem najstarszym, ale niestety! bez nazwiska. Ojciec mój miał w młodości swojej sen piękny i szlachetny, kochał Irlandyę jak Edward i bratał się z jej ludem. Wynikło z tego miłość i małżeństwo; przyszły książę Leinster ożenił się z prostą chłopką, w której żyłach płynęła przecież najszlachetniejsza krew Irlandyi: krew królewska. Poślubił tajemnie moją matkę; małżeństwo musiało pozostać w tajemnicy przez strach przed moim dziadkiem, który był surowy, i ostro dzierżył nad synem władzę rodzicielską. Tymczasem matka moja umarła w trzy dni po przyjsciu moim na świat i stała się rzecz dość zwyczajna... Wpływy rodziny podcięły skrzydła szlachetnym porywom młodości... Mój ojciec pojął w drugie małżeństwo Ang...

W tej chwili Kornelia dotknęła żywo jego ramienia, i wskazała mu oczyma miejsce, gdzie stał Edward.

Lecz Fitz-Gerald już spieszył ku niemu, wyciągając oba ramiona.

Niepodobna opisać wzruszenia Jakóba. Chciał krzyknąć, lecz drżący, niemy, opadł znów na fotel, nie śmiejąc wierzyć własnym oczom.

— Nie jestem duchem — odezwał się zmartwychwstały — Jestem z ciałem i kośćmi dawny Edward — twój brat! Ocalono mnie prawdziwie cudownym sposobem, a moimi zbawcami są: Slovius Jumble i Tankred!

Kilka słów jeszcze, dopowiedzianych przez resztę obecnych wyjaśniło wszystko. Obadwaj Fitz-Geraldowie uściśli się z uniesieniem najwyższego szczęścia.

— A ja! — zawołała z kolei Łucya, która teraz weszła też do pokoju. — I ja jestem też siostra twoja, Jakóbie, bracie mój...

W chwilę później, wszyscy otoczyli Jakóba, który teraz stał się takim samym wygnancem, jak Sir Edward. Gaillefontaine przedłożył mu projekta, dotyczące przyszłości, a Jakób słuchając, odzyskał znów całą swą dawną energię.

— Do Ameryki! — mówił spoglądając na Kornelię — połączmy się z wami, ale nie teraz, później...

— Jak to być może! Dla czegoż nie razem? — zawołał vicehrabia.

Dziki Ir odmówił, obawiał się zaszkodzić ucieczce Edwarda, zresztą nie był jeszcze wolnym, miał obowiązki względem swych towarzyszy, którzy oczekiwali w pobliżu na niego.

— I cóż zamierzacie uczynić? — zapytał Fitz-Gerald.

— Przenieść się na północ Irlandyi — odpowiedział.

— Ażeby tam rozpocząć wojnę na nowo?

— Nie, gdyż byłoby to mnożyć nadaremne ofiary.

Bez pomocy Francyi wszystkie nasze usiłowania nie mogą przynieść pożądanego skutku.

— Czyż więc na zawsze miałbym się wyrzec nadziei? — zawołał Fitz-Gerald.

— Nie — odparł Jakób — bo naród nie umiera i dla tego może odłożyć na jutro, pracę dziś nieszczęśliwą. Szalone upieranie się na straconym posterunku, jest albo pychą, albo rozpaczą. Ja, który wierzę w przyszłość, ja, choć z żalem, składam broń. Wydostanie ją z pochwy ktoś, który przyjdzie po mnie, jeżeli Bóg nie da mi dożyć tej chwili.

W tej chwili przerwał mu chrapliwy okrzyk pod oknem.

— Ach! — zawołał Edward — poznaję głos Uncasa! —

Dziki Ir już powstał, gotowy uchościć, którego przybył.

— Bądźcie mi zdrowi! — rzeź z pośpiechem. — Moi towarzysze niecierpliwią się, a może też zagraża im niebezpieczeństwo. Wraz z niemi znajduje się ranny starzec, którego pragniemy ocalić za jaką bądź cenę. Jest to Jan Murphy... ojciec Jan! —

Ostatnie te słowa zwrócił przedewszystkiem do Kornelii.

— Och! — szepnęła z boleścią — nie zapomnieliśmy o nim. —

Jakób już postawił nogę na pierwszym stopniu podziemnych schodków, lecz nagle obrócił się jeszcze, mówiąc z żywym wzruszeniem:

— Pragnęłam wyznać wam inną jeszcze tajemnicę. Dowiedźcie się, że już od trzech lat przeszło ojciec Jan połączył mnie z Kornelią dożgonnym związkiem. Jest moją żoną, a ponieważ uznaliście mnie za brata, i ona więc jest waszą siostrą!

Przywołana tklivem męża spojrzeniem, piękna i poważna padła mu w objęcia.

Po raz pierwszy otwarcie i w obec ludzi ucałował ją, jako swą ukochaną małżonkę.

Poczem, usłyszawszy powtórny okrzyk Uncasa, zniknął.

W kilka dni później nadszedł list do vicehrabiego, w którym sir Reginald wzywał go jak najspieszniej do Dublina.

XXXV.

Wyspa Druidów.

Tankred wiedział dobrze, że wkrótce będzie musiał odjechać, a przecież serce ścisnęło mu się boleśnie w chwili, gdy się oddalał od Łucyi.

I młoda dziewczyna zdawała się również wzruszoną. W jej dużych błękitnych oczach przebiegał szczerzy żal i tkliva życzliwość siostry. Tankred ani śmiał przypuszczać nic więcej. Lecz u niego — wyznał to już sobie oddawna — była to silna, głęboka miłość.

Na szczęście wzgórz panujących po nad płaszczyną Kildare, obrócił się za siebie, szukając wzrokiem na widnokręgu owych cichych miejsc, w których upłynęło mu tyle szczęśliwych godzin, nie mających już nigdy powrócić. W myśli przywoływał wdzięczną postać Łucyi. Och, dla czego nie spotkał jej wcześniej, zanim jeszcze była narzeczoną innego? Był kochanym od niej i mogąc kochać... Ach! co za rozkoszna przyszłość, jakie niezmiernie szczęście!...

— Dość tego! — szepnęła z boleścią — to jedynie marzenie! —

I smutnie zamysłony, udał się w dalszą drogę.

Pat przeciwnie, okazywał się bardzo żywym i rozmownym.

— Hillo - hou! — zawołał przeskakując przez rów pełen wody. — Czuję już wielką potrzebę rozruszać znów trochę nogi i język! Musha! Było ze mną to samo co i z naszymi końmi, które znużone już długim odpoczynkiem w stajni, gryzły wędzidła z niecierpliwości, chcąc popędzić w świat i pohulać na świeżem powietrzu.

Mówiąc to padły śmiały się, choć twarz jego, mimo wygod i odpoczynku blada i wymizerniała, świadczyła, że i to proste serce cierpiało synowskim nad Irlandyą uczuciem. Ale miał po części słuszność, równając się z koniem, na którym jechał. W biednym ludzie Irlandyi, z naturą jeszcze nierozłączonym, potrzeba ruchu i swobody ma w sobie coś z pierwiastku dzikości w pół zwierzęcej.

— Widzę mój kochanku — odezwał się wtedy Tankred, że mógł byś się z czasem przerobić na Uncasa. Ten też tak samo jak ty, nie może wytrzymać w domu.

— W istocie, panie, — odparł Pat teraz poważnie. — Gdybyś mnie wziął ze sobą do kraju Czerwonych Skór, potrafiłbym służyć ci tam wiernie i dobrze.

Gaillefontaine zdziwiony, spojrział na swego sługę.

— Ten się wytłomaczył żkąd zna tajemnicę.

— Człowiek nie jest głuchym, i choć bez pozwolenia słyszałem kilkakrotnie, że Wasza Cześć zamierza przepłynąć ocean. Proszę, weź mnie pan ze sobą, bo tu życie smutne teraz będzie, i cięższe niż dotąd.

— A Peggy?

— Biedna Peggy! — Będę tu jej przysyłał wszystkie całe moje zasługi i nie ruszę na nic groźnego. Lecz później dla czegożby nie miała w orszaku lady Pamelii oddać się z Irlandyi. Możeby można wziąć i dzieci, ale naturalnie wszystkie? Siedmioro!... Tak jest ich siedmioro. Skoro pobierzemy się z Peggy, bo przecież i tam muszą być księża, którzyby nam ślub dali — przybędzie pewno drobiasku... Arrah! Niech się mnoży ród, który kocha Irlandyę, a nienawidzi Anglii... Eryn go bragh!...

Ogarnął go namiętny szal, wypuścił konia galopem, i pan jego musiał go przywołać do porządku, lękając się, aby nie popełnił jakiej awantury, spotkawszy przypadkiem Anglika. Mógł był rzucić się wściekle na każdego, który by nie odpowiedział mu w tej chwili — Eryn go bragh!...

Za przybyciem do Dublinu, vicehrabia odnalazł na czole Reginalda ten sam wyraz przygnębienia i smutku, który widział u Jakóba. Tak zwyciężony, jak i zwycięzca nie doznawał zadowolenia z ukończonej wyprawy. Na serce szlachetnego Anglika kłęska Irlandyi i jej cierpienia padały cieniem czarnym.

— Nie wszystko jeszcze skończone — odezwał się do Gaillefontaine'a — a ponieważ drogi są zajęte przez wojska, muszę więc towarzyszyć wam. Czy już jest gotów do drogi?

— Sir Edward?...

— Nie, okręt?

— Otrzymałem niedawno list z Hamburga. Kapitan znajduje się zapewne w oznaczonym miejscu. W umowie z nim zastrzegłem sobie, że w razie opóźnienia z naszej strony — będzie czekał.

— Jutro pojedziemy do Kildare — rzeź Reginald. Prosiłem, aby mnie wysłano ku północno-wschodowi i otrzymałem już stosowny rozkaz. Nie obudzi to najmniejszego podejrzenia, że zboczę parę mil dla widzenia się z żoną, bo dla świata Łucya już nią jest. To pozwoli nam zabrać ze sobą Edwarda, bez żadnego dlań niebezpieczeństwa.

(Dalszy ciąg nastąpi)